Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 36 | Niedziela, dnia 2 września 1928 roku | Rok IV-ty

TYGODNIK PRAWDA

Cena numeru 40 gr.

Prenumerata z dostawą do domu:
miesięcznie . . 1.35 zł.
kwartalnie . . . 4.— zł.
Konto w P.K.O. № 63.353

ŁÓDŹ — WARSZAWA — POZNAŃ

Treść numeru:

Sprawy tygodnia

SEZON POLITYCZNY.

WE WRZEŚNIU rozpoczyna się nowy sezon polityczny. Inauguracją tego sezonu na terenie międzynarodowym będzie rozpoczynająca się sesja Rady Ligi Narodów i Ogólnego Zgromadzenia Ligi Narodów. Po obradach genewskich zacznie się sezon polityczny w poszczególnych państwach.

Sesja Zgromadzenia Ligi Narodów i Rady Ligi zapowiada się w tym roku szczególnie interesująco, zwłaszcza dla nas, gdyż dwie najważniejsze sprawy, które omawiane, a może nawet rozstrzygane, będą w Genewie, t. j. sprawa naszego zatargu z Litwą oraz sprawa Nadrenji, bezpośrednio nas dotyczą i pozwolą nam na miarodajnym przykładzie stwierdzić, czy i jaki osiągnęliśmy postęp w ciągu ostatniego roku w traktowaniu naszych spraw na terenie międzynarodowym.

Stanowisko naszego rządu w obydwóch sprawach jest dostatecznie znane. Co do sprawy litewskiej uzupełnione zostało ono ostatnim oświadczeniem ministra Zaleskiego wobec prasy, że mianowicie Polska bezpośrednio nie wystąpi w Genewie w roli oskarżycielki rządu Litewskiego, lecz oczekuje, by sprawa litewska wprowadzona została na porządek dzienny przez Radę Ligi Narodów, gdyż w całej tej sprawie narażony jest na szwank przedewszystkiem prestiż Ligi Narodów, z rezolucji której — jak dotychczas — bezkarnie drwi sobie rząd p. Woldemarasa.

Co do drugiej sprawy, stanowisko Polski znane jest również z szeregu oświadczeń ministra Zaleskiego, a zwłaszcza z jego ostatnich przemówień w Paryżu i Brukseli. Rząd nasz jest zdania, że sprawa przedterminowej ewakuacji Nadrenji nie może być rozstrzygnięta bez udziału Polski, która podpisała również traktat wersalski jako państwo sprzymierzone. Ze stanowiska rządu polskiego przedterminowa ewakuacja Nadrenji byłaby dopuszczalna tylko w tym wypadku, gdyby Niemcy dostarczyły gwarancyj, zabezpieczających dotychczasowy stan rzeczy na granicy polsko-niemieckiej.

Sprawa ewakuacji Nadrenji nie będzie figurowała na porządku dziennym obrad Ligi Narodów. Rokowania co do niej toczyć się będą równolegle w Genewie pomiędzy delegacją niemiecką z kanclerzem Müllerem na czele a przedstawicielami pięciu mocarstw, reprezentowanych w Radzie Ambasadorów, t. j. przedstawicielami Anglji, Francji, Włoch, Belgji i Japonji.

Sprawa Nadrenji stanowić będzie oś wrześniowych obrad genewskich i na tej sprawie skupiać się będzie uwaga całego świata i wszystkich obecnych w Genewie polityków. W związku z tą sprawą pozostaje także absencja ministrów Stresemanna i Chamberlaina. Niemcy wysyłają do Genewy swego kanclerza, aby tem większą wagę nadać swoim wystąpieniom. Posyłają w dodatku kanclerza socjalistę, któremu usłużna dla Niemiec II-ga Międzynarodówka socjalistyczna dała na drogę rezolucję kongresu brukselskiego, domagającą się zniesienia okupacji Nadrenji, przyjętą także i głosami socjalistów polskich. Chamberlain zdecydował się również nie wyjeżdżać do Genewy, gdyż od czasu ostatniej sesji Ligi Narodów, a zwłaszcza od czasu rozmów w Locarno i Thoiry zaszła niejedna zmiana i może angielski minister nie mógłby już dzisiaj w całej rozciągłości utrzymać się na dawnem swojem stanowisku w stosunku do tej sprawy. Jak wiadomo odbyły się w tym roku na terenie okupowanym ćwiczenia wojskowe francuskie i w tych ćwiczeniach brały również udział oddziały armji angielskiej. Fakt ten wywołał w Niemczech bardzo żywy odruch protestu i dopatrywano się w nim zmiany poglądów angielskich na sprawę zniesienia okupacji.

W każdym razie świat ma uzasadnione powody z żywem zainteresowaniem wyczekiwać na wiadomości, jakie niebawem zaczną napływać z Genewy.

* * *

SEZON POLITYCZNY w naszej polityce wewnętznej również niebawem się rozpocznie. Pierwszą przygrywkę stanowił wywiad, jakiego udzielił premjer prof. Bartel warszawskiemu „Kurjerowi Porannemu". Był to wprawdzie bardzo szablonowy i bardzo ogólnikowy wywiad, wynikało jednak z wynurzeń prof. Bartla, że sprawa zmiany konstytucji, która to sprawa według powszechnego mniemania, stanowić będzie najważniejsze i centralne wydarzenie nadchodzącego sezonu politycznego, jest aktualną i że pewne przygotowania są w toku.

Premjer oświadczył, że inicjatywa co do tej sprawy spoczywa w rękach Bloku Bezpartyjnego. Sądzimy, że oświadczenie to należy rozumieć w ten sposób, że dotychczas jedynie Blok Bezpartyjny publicznie sprawę tę wysunął na porządek dzienny i w konsekwencji tego poczynił już i czyni w dalszym ciągu pewne przygotowania, opracowując pewne projekty, zbierając materjał informacyjny i t. p. Rząd jako taki dotychczas nie ujawnił swego stanowiska i nawet nigdzie wyraźnie się nie oświadczył, że zamierza wystąpić także z własnym projektem. Raz tylko, według informacyj prasowych, premjer Bartel miał oświadczyć, że sam posiada swój pogląd na to zagadnienie i ustalił kilka tez, które mogłyby służyć za podstawę do opracowania projektu nowej konstytucji i że z tymi swojemi tezami wystąpi na Radzie Ministrów. Byłoby przeto przedwczesnem wysnuwać z wywiadu prof. Bartla taki wniosek, że sprawa nowej konstytucji traktowana będzie na drodze parlamentarnej, t. zn. że Blok Bezpartyjny zgłosi odpowiedni wniosek ewentualnie w porozumieniu z rządem i po uzgodnieniu go z miarodajnemi czynnikami rządowemi i że ten wniosek przejdzie następnie wszystkie etapy procedury sejmowej i senackiej. Ewentualność taka jest najmniej prawdopodobna zwłaszcza po znanem oświadczeniu Marszałka Piłsudskiego i po tem, co powiedział o procedurze sejmowej. Sejm, jeśli nawet zostanie zwołany, nad nową konstytucją dyskusyj prowadzić nie będzie. Marszałek Piłsudski mógł znieść sposób, w jaki traktowano w sejmie budżet tegoroczny, mógł biernie znosić powódź pustej gadaniny, od której muchy zdychały, gdy chodziło o sprawy, które bezpośrednio go nie dotyczyły i gdy kąśliwa złośliwość tej gadaniny tylko pośrednio przeciw jego rządom się zwracała, ale zapewne nie zniósłby znęcania się nad autoryzowanym przez siebie projektem nowej konstytucji. I dlatego najmniej prawdopodobne jest to, że projekt nowej konstytucji, do którego przyznałby się rząd, który byłby przeto projektem Marszałka Piłsudskiego, oddany zostanie pod tryby machiny sejmowej, przedłożony zostanie do oceny, krytyki i ewentualnego łaskawego uznania lub zdyskwalifikowania przez tych samych ludzi, co do których Marszałek nie ukrywa swej opinji.

Byłoby też conajmniej dziwnem, by opracowanie nowej konstytucji powierzono ciału, uznanemu za najgorszy owoc konstytucji, którą uważa się za złą i pragnie się ją zmienić.

Sprawa zmiany konstytucji leżv całkowicie w rękach Marszałka Piłsudskiego, gdyż stanowi ona naturalne i konieczne zakończenie dzieła, rozpoczętego przez niego w maju 1926 roku. Niema żadnych podstaw aby przypuszczać, że zakończenie to powierzy on komu innemu do wykonania, że zwłaszcza raz jeszcze złoży dzieło budowy ustroju państwowego w ręce sejmu, który tak bardzo zawiódł pokładane w nim przed dziesięcioma laty bezkrytyczne i entuzjastyczne zaufanie.

Byłoby przedwczesne przepowiadać, w jaki sposób nadana zostanie Polsce nowa konstytucja, pewnem wydaje się tylko jedno, że mianowicie Marszałek Piłsudski będzie autorem nowej konstytucji i że on sam obierze sposób nadania jej i wprowadzenia w życie. Pewnem wydaje się również to, że droga ta przez sejm i jego normalną procedurę prowadzić nie będzie.

* * *

NOWY PROJEKT REFORMY AGRARNEJ

BARDZO CIEKAWA wiadomość pojawiła się w krakowskim „Kurjerze Ilusrowanym" z dnia 26 sierpnia. Mianowicie na naczelnem miejscu zamieszczony został w tem piśmie artykuł, zawierający szereg informacyj o nowym projekcie reformy rolnej w Polsce, opracowanym przez prof. Władysława Leopolda Jaworskiego w porozumieniu z ministrem reform rolnych d-rem Staniewiczem i niewątpliwie z upoważnienia rządu.

Historja tego projektu jest następująca. Swego czasu minister reform rolnych Staniewicz powołał komisję rzeczoznawców, którąby zajęła się uporządkowaniem wyprodukowanego dotychczas przez sejmy ustawodawstwa agrarnego. Rząd doszedł bowiem do przekonania, że ustawodawstwo to jest chaotyczne, że jedne przepisy sprzeczne są z drugiemi, że na każdym kroku nasuwają się liczne wątpliwości, umożliwiające najróżnorodniejszą interpretację i że wreszcie niektóre przepisy ustaw obowiązujących są wręcz niemożliwe do wykonania. Przewodniczącym tej komisji został prof. Jaworski. Aby ułatwić pracę komisji, prof. Jaworski podjął się przygotowania zupełnie nowego projektu polskiego ustawodawstwa agrarnego, któryby służył za podstawę do dyskusji i stwarzał zasadnicze wytyczne dla polskiej polityki agrarnej.

Projekt ten jest już gotów i już ukazał się w druku, zaopatrzony przedmową ministra Staniewicza. Stawia on sprawę polskiej polityki agrarnej na zupełnie innych zasadach niż postawiona została w dotychczasowej konstytucji i w ustawach, wydanych na podstawie przepisów tej konstytucji. Podczas, gdy wypływająca z ducha i litery dotychczasowej konstytucji polityka agrarna Polski szła w kierunku mechanicznej likwidacji wielkiej własności, bez względu na gospodarcze i kulturalne znaczenie niektórych objektów, projekt prof. Jaworskiego zmierza do stworzenia **harmonijnej struktury agrarnej, opartej na wszystkich typach własności ziemskiej,** poczynając o największej własności a kończąc na własności drobnej i fermach osadniczych, struktury, która odpowiadałaby najlepiej rolniczemu charakterowi naszego państwa i najlepiej służyła interesom wzmożenia i intensyfikacji naszej produkcji rolniczej.

Projekt prof. Jaworskiego stwarza zupełnie nowe pojęcie „przedsiębiorstwa rolnego" na miejsce dotychczasowego pojęcia „gospodarstwa rolnego". Mamy tu przeto do czynienia z bardzo głęboką i bardzo daleko idącą zmianą w pojęciach dotychczasowych, z potężną ideą reformatorską. Ta, zdawałoby się, prosta zmiana w terminologji, wprowadza zagadnienie agrarne na zupełnie inną płaszczyznę, na której obowiązywałyby w stosunku do własności ziemskiej te same zasady prawne, jakie obowiązują w stosunku do własności przemysłowej, a w dalszej konsekwencji stwarzą prawne podstawy do wręcz rewolucyjnych zmian w strukturze społecznej i gospodarczej.

Przedsiębiorstwem rolnem jest wszystko, co należy do gospodarstwa rolnego i co stanowi jednostkę gospodarczą rolniczą, a więc ziemia wraz z zabudowaniami, inwentarzem, zakładami przemysłu rolniczego, do niej należącymi itp. o ile to wszystko stanowi własność **jednej** osoby prawnej czy fizycznej i prowadzone jest według jednego planu. Charakterystyczną cechą przedsiębiorstwa rolnego jest jednolity plan gospodarczy dla całości, która może być dowolnie wielką. Przedsiębiorstwo rolne może obejmować kilka jak i kilka tysięcy hektarów ziemi, warunkiem jest tylko to, że głównym zawodem właściciela takiego przedsiębiorstwa musi być rolnictwo. Przedsiębiorstwa rolnego nie może przeto posiadać osoba, wykonywująca inny jakiś zawód a prowadząca gospodarkę w przedsiębiorstwie rolnem przez pełnomocników. Przedsiębiorstwa rolnego nie może właściciel wydzierżawiać innej osobie, t. zn. nie można będzie posiadać majątku ziemskiego i nie prowadzić gospodarki, lecz wydzierżawiać ziemię.

Każde gospodarstwo rolne, które odpowiada tym warunkom, uznane zostanie za przedsiębiorstwo rolnicze. Uznanie takie pociąga za sobą daleko idące konsekwencje. Przedewszystkiem więc ***przedsiębiorstwo rolne stanowi całość niepodzielną.*** Nie można dzielić go ani w drodze działań prawnych pomiędzy osobami żyjącymi, t. zn. w drodze sprzedaży, darowizny itp., ani też w drodze spadku. Temsamem przedsiębiorstwo rolne **nie może także podlegać częściowemu lub całkowitemu wywłaszczeniu lub parcelacji** na zasadzie ustawy o reformie rolnej, która zachowuje swoją moc obowiązującą.

W wyniku przepisów o niepodzielności przedsiębiorstwa rolniczego, projekt przewiduje **zmiany w ustawodawstwie spadkowem w rolnictwie.** Wprowadzona zostaje zasada **uprzywilejowania najstarszego dziecka,** które oprócz ustawowej części otrzymać musi w drodze spadku połowę faktycznej wartości przedsiębiorstwa rolnego. Te zmiany w ustawodawstwie spadkowem mają na celu zabezpieczenie nowej struktury agrarnej **i uniemożliwienie rozdrobnienia przedsiębiorstw** na jednostki zbyt drobne, aby mogły stanowić dostateczną podstawę egzystencji właściciela i spełniać swoją **rolę warsztatu produkcji.**

CZYNNIKI POLITYKI PAŃSTWOWEJ

SPRAWY SPOŁECZNE — GOSPODARCZE — POLITYKA WEWNĘTRZNA I ZAGRANICZNA

Projekt prof. Jaworskiego stwarza szereg instytucyj rolniczych i przewiduje **szeroko zakreślony samorząd rolny.** Stwarza więc związki przedsiębiorców rolnych, do których należałyby nie osoby właścicieli przedsiębiorstw, lecz przedsiębiorstwa jako takie.

Naczelną władzą samorządową byłaby centrala związków przedsiębiorstw rolnych z siedzibą w Warszawie. Placówka ta byłaby wyposażona w szerokie prawa administracyjne i miałaby decydujący wpływ na wykonywanie ustawy o reformie rolnej. W samorządach rolniczych powiatowych i wojewódzkich, tam, gdzie na roli żyją obok siebie różne narodowości, istniałyby sekcje narodowościowe.

Wreszcie projekt przewiduje także **oddzielne dla rolnictwa sądownictwo administracyjne** o trzech instancjach, które zabezpieczałoby całkowitą legalność i sprawiedliwość wszystkich aktów wywłaszczeniowych dokonywanych na zasadzie ustawy o reformie rolnej oraz wszystkich innych aktów administracji w sprawach dotyczących rolnictwa.

Obroty ziemią podlegałyby całkowicie władzom rolniczym. Wszelkie wywłaszczenia dokonywane byłyby za pełnem odszkodowaniem.

Ustawa o reformie rolnej z grudnia 1925 roku **pozostałaby nadal w mocy** po dokonaniu w niej pewnych zmian celem uzgodnienia jej z głównym kodeksem agrarnym. Postanowienia jej obowiązywałyby i byłyby stosowane do wszystkich objektów rolnych, które nie zostałyby uznane za przedsiębiorstwa rolne.

O ile informacje pisma krakowskiego są ścisłe, a na takie wyglądają, to należy się spodziewać, że kwestja agrarna wejdzie u nas niebawem w nowe stadjum i że Polska stanie się widownią zupełnie **nowej i zupełnie oryginalnej, jedynej w tym rodzaju — próby uregulowania tej kwestji.**

Nie wdając się w szczegółową ocenę projektu, która byłaby niemożliwą bez dokładnej znajomości pełnego tekstu projektu, stwierdzić jednak należy, że sam fakt, iż projekt taki powstał, jest niezmiernie doniosły. Oznacza to bowiem, że myśl śmiałych reform, opartych na trzeźwej i objektywnej ocenie istniejących potrzeb i warunków i na takiej samej ocenie i należytem zrozumieniu celów, do jakich należy zmierzać, zdobyła sobie u nas nareszcie prawo obywatelstwa — pozwala mieć nadzieję, że rozum dojdzie wreszcie do głosu i stanie się czynnikiem postępu.

Dożynki w Spale

TEGOROCZNE, drugie zkolei święto dożynek w letniej rezydencji Prezydenta Rzeczypospolitej, dało przekonywujący dowód, że wznowienie tej przepięknej tradycji polskiej było myślą szczęśliwą, gdyż spotkało się z radosnym oddźwiękiem w sercach ludności wiejskiej jak Polska długa i szeroka.

Zjazd był liczniejszy, niż przypuszczano, ponieważ oprócz delegacyj wiejskich zjawiły się niezliczone tłumy pragnących być świadkami zjazdu i obchodu, pragnących uraczyć oczy niewypowiedzianie pięknym w swej barwności obrazem mozajki strojów ludowych.

W tym roku poczyniono już szereg przygotowań na przyjęcie napływających tłumów i opracowano program całego obchodu, który prawdopodobnie będzie szkieletem wszystkich przyszłych programów, nie ulega bowiem wątpliwości, że letnia rezydencja w Spale stanie się odtąd miejscem **dorocznej jesiennej pielgrzymki niezliczonych rzesz ludności wiejskiej z całej Polski,** że obchód dożynek stanie się z biegiem lat **narodowem świętem radości z pracy.**

Pobudowano więc trybuny, mogące pomieścić kilka tysięcy ludzi, uporządkowano i zrównano kilkadziesiąt morgów wysokopiennego lasu, na obszernej polanie przed trybunami urządzono wielkie boisko, pomyślano o pomieszczeniach noclegowych, zorganizowano biura informacyjne, pomoc lekarską, zgóry wyznaczono miejsca zbiórek dla delegacyj i oznaczono je tablicami, jednem słowem wykorzystano doświadczenia zeszłoroczne. I jeżeli jeszcze tu i owdzie coś szwankowało, nikt się tem nie gorszył ani się temu nie dziwił.

Obchód dożynek w Spale nie jest obchodem wyreżyserowanym. Narodził się z czyjejś, przypadkowej zapewne, myśli i zaczął się z odruchu. Organizacja przyszła dopiero później. W tym roku widziało się dopiero pierwsze jej ślady. Ale to właśnie jest najbardziej przekonywującym dowodem, że **ten obchód wyrósł z głębokiej potrzeby** i że przedewszystkiem sam będzie dyktował swoje prawa i zwyczaje.

* * *

OBCHÓD święta dożynkowego w Spale **nie da się porównać do żadnego innego z licznych naszych obchodów i świąt.** Gdyby ktoś chciał mimoto snuć jakieś porównania, to musiałby dojść do wniosku, że w porównaniu z obchodem dożynek w Spale wszystkie inne obchody wyglądają, jak sztuczne wymuszone parady. Możnaby go porównać tylko z jakąś spontaniczną, odruchową, radosną manifestacją, przez nikogo nieprzewidzianą ani nie organizowaną.

Tłumy śpieszą, jak na odpust lub wesele. W drodze na stacjach kolejowych, w pociągach gorliwi przodownicy delegacyj i wycieczek utrzymują jeszcze w swoich szeregach karność i rygor — owieczki trzymają się gromady, by się nie zgubić. Ale zaledwie wyszły z wagonów na maleńkiej leśnej stacyjce, przy której zaczyna się już sznur straganów i bud, rzędy furmanek, powozów, samochodów, autobusów, ciągnące się aż do bramy dziedzińca pałacowego, po obu stronach leśnej drogi, już po rygorze i karności. Każdy, nawet najbardziej nieśmiały przybysz z najdalszego zakątka czuje się tu nagle, jakby się znalazł w domu i wśród najbliższych. Taka już jakaś swojska atmosfera panuje w tym dniu w spalskim lesie — tyle wesela i tyle barw.

Można przez długie godziny chodzić po tym lesie wśród tysięcznych tłumów a nie spotka się ani jednego zabłąkanego, któryby szukał swoich, nie spotka się dziecka, któreby z płaczem szukało matki, nie spotka się ani jednej zasępionej twarzy, ani jednego zmęczonego i zniechęconego.

Zjechali się tu ludzie z całej Polski, rozbiegli się jak mrowie po lesie, oblepili stragany i budy, legli kraśnymi plamami na zielonym mchu i różowym wrzosie, a nie spotka się trzech razem, którzyby się znali. A choć się nie znają rozmawiają z sobą i śmieją się do siebie jakby pół życia ze sobą spędzili w wielkiej zażyłości i przyjaźni. Przyszli w gościnę do Pana Prezydenta — to się znają, bo jakżeby to nieznajomi razem do kogoś w gościnę chodzili.

* * *

SĄ DWIE CHWILE podniosłe w czasie tego obchodu. Pochód prezentacyjny przed gankiem pałacu p. Prezydenta i ceremonja wręczania p. Prezydentowi wieńców z kłosów i tradycyjnych podarków. Korowód prezentacyjny trwa kilka godzin. Każdy chce widzieć p. Prezydenta i każdy chce się p. Prezydentowi pokazać, więc już na godzinę przed naznaczoną zbiórką, kto żyw szuka miejsca, gdzie się „jego" zbierają. Las pustoszeje na chwilę, a nieskończenie długie przebarwne szeregi wykwitają na zarosłym trawą i mchem szerokim trakcie leśnym. To kupą, to gromadą, to w czwórkach sunie cała Polska w korowodzie przed podsieniem pałacyku spalskiego, pochylając głowy przed swoim gospodarzem, posyłając mu uśmiechy radości lub okrzyki wesołe.

Niezatarte wspomnienie pozostawia widok smukłej, lekko, jakby dobrotliwie, naprzód pochylonej postaci Prezydenta Mościckiego z nieopisanie dobrym i miłym uśmiechem na twarzy, darzącego za serce chwytającem, ojcowskiem spojrzeniem falujące przed nim w korowodzie szeregi.

— „Tak na mnie spoźrał, żem się rozbeczała..." Trzeba to słyszeć tam na miejscu, w Spale, tuż po korowodzie z ust krakowianki z Bronowic, łowiczanki czy ślązaczki i być pod wrażeniem widzianego przed chwilą obrazu...

Druga chwila, to ceremonja składania wieńców i darów. W tym roku delegaci z wieńcami i darami zebrali się na boisku przed trybunami. W środku trybun na podniesieniu, otoczony świtą, członkami rządu, korpusem dyplomatycznym, stanął p. Prezydent. Starosta dożynkowy, wybrany na ten rok przez Centralne Towarzystwo Rolnicze, podszedł pierwszy do trybuny i z zachwycającą swadą i swobodą wygłosił w przepięknem narzeczu góralskiem swoje przemówienie. A potem kolejno do trybuny podchodzili delegaci, składając wieńce i dary wśród wesołych śpiewek i skocznej muzyki. Wzruszający był moment, gdy delegacja ziemi krakowskiej, chłopi z Racławic, sprezentowali przed Prezydentem kosy na sztorc osadzone Bartoszowe kosy, a jeden z pośród nich wręczył mu białą sukmanę krakowską z czerwonymi wyłogami — sukmanę kościuszkowską. P. Prezydent przywdział sukmanę i w niej od delegacji ziemi krakowskiej przyjmował dary.

Niestety w tym roku w czasie tej uroczystości zaczął padać ulewny deszcz. Nie zdołał on jednak zamącić uroczystości — przepłoszył tylko mieszczuchów, wieś wytrwała do końca i doczekała się powrotu słońca.

* * *

ZDZICZENIEM tylko nazwać można, na szczęście odosobnione, napaści na obchód dożynkowy w Spale, a podłością pospolitą są insynuacje o eskortach policyjnych, dodawanych delegacjom i wycieczkom, o spędzaniu chłopów przez policję i wójtów do Spały, o jakichś fantastycznych wydatkach na urządzenie tego obchodu itp. Uczestnicy wycieczek i delegacje korzystali tylko ze zniżek kolejowych, tak jak korzystają wszystkie inne wycieczki, pielgrzymki a nawet każdy, kto jedzie w czasie sezonu na zabawę lub kurację do Zakopanego lub Krynicy. A to co w Spale zrobiono, zrobiono przeważnie środkami, jakiemi dysponuje zarząd Spały. Razem z posiłkami, które wydano przybyłym kosztowało to zapewne mniej niż skarb płacił za rachunki krawieckie i hotelowe różnych dygnitarzy partyjnych, rozjeżdżających o całym świecie na koszt skarbu w niesławnych czasach suwerennego partyjnictwa.

Napaści i insynuacje, miotane na obchód dożynek w Spale podyktowała potępieńcza zawiść, że mimo największych wysiłków żadnej partji nie udało się nigdy jeszcze zgromadzić na jakimś partyjnym zjeździe lub wiecu nawet dziesiątej części tych tłumów, które zalały las spalski.

Jeżeli było coś, co pędziło te tłumy do Spały i pędzić je tam będzie i w następnych latach, to nadzieja i serdeczne pragnienie ujrzenia szlachetnej postaci gospodarza Rzeczypospolitej, jego pogodnego z serca płynącego uśmiechu i tego dobrego za serce chwytającego spojrzenia a także nadzieja usłyszenia ojcowskich słów, podyktowanych głęboką i szczerą troską o dobro ludu, na którego czele los go postawił.

Dożynki w Spale, to najpiękniejsze święto ludu polskiego.

K. Tyr.

Wybryk bezsilnej wściekłości

„Epoka" warszawska poczuła się wielce dotkniętą artykułem moim, zamieszczonym w ostatnim n-rze „Prawdy", a omawiającym pewne szczegóły ze stosunku Ministerstwa Skarbu do zagadnień i sfer gospodarczych, i uznała się za powołaną do udzielenia odpowiedzi.

Niepodpisany autor w braku wszelkich argumentów rzeczowych posługuje się w swym pamflecie, który zapewne uważa za replikę, 1-o inwektywami, 2-o kłamstwem, 3-o grubjaństwem.

Oto inwektywy:

„Kierownicy naszego życia przemysłowego z reguły nie poczuwają się bowiem do żadnych obowiązków w stosunku do państwa jako całości.

„Nie troszczą się wcale o podnesienie poziomu wytwórczości, o udoskonalenie metod pracy. o uzdrowienie nienormalnych objawów.

Natomiast gorliwie stają w obronie najbardziej nieudolnie nawet prowadzonych warsztatów, wymagając od rządu i społeczeństwa coraz to nowych świadczeń".

Takie zarzuty, o ile na ich poparcie nie jest przytoczony żaden dowód, w oczach każdego uczciwego człowieka godzą nie w tych, przeciwko którym są skierowane, lecz tylko w tych, którzy na ich gołosłowne miotanie sobie pozwalają.

Oto kłamstwa:

„Nie pominął tego również milczeniem doradca amerykański p. Dewey, podkreślając w swem ostatniem sprawozdaniu, niezrozumiałe wprost niedołęstwo kierowników naszych organizacyj przemysłowych".

„P. Barciński .... domaga się .... zredukowania podatku obrotowego".

„Sympatje pp. Barcińskich zdobyłby tylko taki minister skarbu, który zrezygnowałby wogóle z pobierania podatków, względnie wydałby zarządzenie, ażeby podatki były wymierzane przez władze skarbowe .... na wiarę, bez żadnych badań i [illegible]dzania prawidłowości deklaracyj płatników".

Dlaczego to ostatnie zaliczam do szeregu kłamstw, a nie do inwektyw? Oto dlatego, że nikt w artykule moim nie mógł dopatrzeć się żądania niepobierania podatków, skoro pisałem: „Jednakże im lepiej się zagadnienie to rozumie, tem jaśniej również pojmuje się całą niedorzeczność wymagania, by reforma ta została przeprowadzona szybko. Tak rozumować może tylko zgoła bezkrytyczne i sobkowskie zniecierpliwienie, przesłaniające swą subjektywnością cały ogrom olbrzymiego zadania", a dalej: „Nie znaczy to bynajmniej, że należy lub można zamykać oczy na literę prawa jeszcze obowiązującego, można jednak łagodzić jego wybujałości, oraz prostować niedorzeczności, zwłaszcza, gdy to się daje łatwo przeprowadzić bez najmniejszego dla skarbu państwa uszczerbku". Zaś co do przyjmowania zeznań na wiarę pisałem dosłownie: „Inaczej nieco rzecz się przedstawia z rewizjami bieżącemi. Te oczywiście **dokonywane być muszą** i zaatakowaniu tu podlega już nie fakt, lecz tylko sposób ich dokonywania". Zatem strzelającemu z za płota autorowi obrony chodziło najwidoczniej o wprowadzenie w błąd czytelników „Epoki", nie będących jednocześnie czytelnikami „Prawdy". Czyli innemi słowy w tych ustępach już nie insynuował, lecz najzwyklej w świecie kłamał.

Do kłamstw również miałbym ochotę zaliczyć twierdzenie, jakoby „przedstawiciele rządu w swych oficjalnych przemówieniach podnosili również niejednokrotnie brak wszelkiej twórczej inicjatywy i pomysłowości ze strony polskch organizacyj przemysłowych", bo niczego podobnego sobie nie przypominam.

Grubjaństw nie cytuję, bo musiałbym przytoczyć całą pozostałą treść pamfletu.

* * *

Jechałem raz na wąskiej ulicy samochodem i nie mogłem wyminąć wozu, jadącego samym środkiem ulicy i nie reagującego na sygnały. Gdy nareszcie jednak ustąpił mi z drogi, zjechał na lewą stronę ulicy. Zwróciłem woźnicy w formie ostrej, ale przyzwoitej, uwagę, że winien jechać po prawej stronie i ze środka zjeżdżać nie na lewo, lecz na prawo. Poczciwina chwycił za bat, zmierzył się na mnie, ale biedaczysko nie dosięgnął... i dalej jechał po lewej stronie.

Dr. M. Barciński.

ZAGRANICA

Przegląd spraw zagranicznych

Pakt Kelloga—Stresemann w Paryżu—Papież o paktach antywojennych — Echa kongresu socjalistów

Pakt Kelloga został podpisany dnia 27 sierpnia w Paryżu. Podpisali go przedstawiciele 15 państw. Pozostałe państwa otrzymały równocześnie od rządu amerykańskiego zaproszenie, aby się do paktu przyłączyły i dodatkowo go podpisały. Spodziewać się należy, że żadne z zaproszonych państw nie da odpowiedzi odmownej.

* * *

Z okazji podpisania paktu Kelloga bawił w Paryżu niemiecki minister Stresemann. Przyjazd niemieckiego ministra spraw zagranicznych do stolicy Francji stanowił dla francuskiej opinji publicznej sensację o wiele większą, niż podpisanie paktu Kelloga, albowiem od czasów Bismarka, Sedanu i pokoju, który odbierał Francji Alzację i Lotaryngję, nie zdarzyło się nigdy, aby kierownik niemieckiej polityki zagranicznej bawił w charakterze oficjalnym w stolicy Francji.

Paryż witał p. Stresemanna bardzo życzliwie i z objawami życzliwości i przyjaznych uczuć spotykał się Stresemann w Paryżu na każdym kroku. Z ogromnem napięciem i zaciekawieniem oczekiwano zwłaszcza spotkania osobistego Stresemana z premjerem francuskim Poincare. Spotkanie to odbyło się, prasa nie otrzymała jednak żadnego komunikatu o treści rozmowy, jaką między sobą prowadzili ci dwaj ludzie. Przypuszczają jednak powszechnie, że tematem rozmowy była sprawa *przedterminowej ewakuacji Nadrenji.*

Sprawa ta przechodziła dziwne koleje. Dwa lata temu, po podpisaniu układów lokarneńskich zdawało się już, że lada dzień zapadną co do niej decydujące postanowienia. Jak wiadomo, bezpośrednio po podpisaniu umów lokarneńskich, nastąpiło spotkanie pomiędzy Stresemannem a Briandem w szwajcarskiej mieścinie *Thoiry* i w czasie tego spotkania Briand miał dać Stresemannowi jakieś wiążące przyrzeczenia co do zniesienia gwarancyjnej okupacji Nadrenji. W opinji francuskiej spotkanie to znalazło wówczas bardzo nieprzychylne przyjęcie i sprawa utknęła na martwym pukcie, mimo że Niemcy powracali do niej przy każdej sposobności, stając na stanowisku, że układ lokarneński podpisali w tem przeświadczeniu, iż pierwszem jego następstwem będzie właśnie zniesienie okupacji w Nadrenji.

Obecnie sprawa ta znowu jest na porządku dziennym i tym razem panuje w stosunku do niej nastrój niezbyt wrogi w opinji francuskiej. W Genewie, w czasie najbliższej sesji Ligi Narodów, zapowiedziane są na ten temat oficjalne rozmowy pomiędzy kanclerzem Rzeszy Müllerem a francuskim ministrem spraw zagranicznych Briandem.

Obecnie jednak sytuacja Niemiec jest znacznie korzystniejsza niż była dwa lata temu w Thoiry. Okupacja Nadrenji według postanowień traktatu wersalskiego ustaje w roku 1930 — a zatem tylko dwa lata dzielą jeszcze Niemcy od tego upragnionego celu, od chwili, w której znikną ostatnie widoczne skutki przegranej wojny, w której skończy się ostatni akt publicznej pokuty za zbrodnię wywołania wojny. Jeżeli mimo to Niemcy pragną przedterminowego zniesienia okupacji, to jedynie dlatego, *że nie chcą dopuścić do tego, aby jakiekolwiek postanowienie traktatu wersalskiego wykonane zostało bez zmian i ściśle według brzmienia litery tego traktatu.* A w tym punkcie, postanowienia traktatu były dla Niemiec najboleśniejsze, więc i opozycja przecim nim jest najsilniejsza, a zabiegi o zmianę ich najusilniejsze. Jednak dzisiaj już przypuszczalnie Niemcy trudniej pójdą na wzajemne ustępstwa i koncesje wzamian za zniesienie okupacji. Dają przynajmniej bardzo wyraźnie do zrozumienia, że oferty swoje z przed dwuch lat, z okresu Thoiry, uważają już dzisiaj za nieaktualne.

Nie jest wykluczone, że to właśnie powiedział p. Stresemann p. Poincaré w czasie krótkiej konferencji, jaką obaj odbyli w Paryżu.

* * *

Sprawa Nadrenji posiada dla nas niezmiernie doniosłe znaczenie, gdyż — pomijając już to, że rozwiązuje Niemcom ręce na zachodzie — przedterminowa ewakuacja Nadrenji, nieprzewidziana w traktacie wersalskim, stanowiłaby w nim *nowy wyłom*, dający Niemcom nową podstawę do zaatakowania pozostałych i dotychczas publicznie niekwestjonowanych jeszcze jego postanowień. A jest oczywistem, że następne z kolei ataki skierowaliby Niemcy przeciw tym postanowieniom traktatu, które dotyczą *naszej granicy zachodniej i korytarza pomorskiego.* Dlatego tak bardzo uzasadnione jest stanowisko ministra Zaleskiego, który nie chce słyszeć o przedterminowem zniesieniu okupacji bez dostarczenia przez Niemcy gwarancji, że stan rzeczy, istniejący na zasadzie traktatu wersalskiego na granicy polsko - niemieckiej nie będzie w żaden sposób przez Niemcy kwetsjonowany. Wówczas nie byłby to wyłom w traktacie, ale zamiana jednej gwarancji na inną. Okupacja bowiem Nadrenji jest ze stanowiska traktatu wersalskiego gwarancją przeciw wszelkim próbom odwetowym ze strony Niemiec. A gwarancja taka może być zmieniona, ale zniesiona nie.

* * *

W sprawie paktu Kelloga wypowiedziała się także Stolica Apostolska. Mianowicie organ oficjalny Watykanu „Osservatore Romano" zamieścił na naczelnem miejscu artykuł, zatytułowany „Po jedenastu latach...", w którym znajduje się następujący ustęp:

„Nikt nie może zaprzeczyć, że wojna światowa, jako całość, w niczem nie pozwoliła osiągnąć zamierzonych celów ideowych i że pokój, który powstał z przelanego morza krwi, nie jest ani prawdziwym ani sprawiedliwym pokojem, za jaki usiłuje się go podawać, lecz raczej pokojem, który nosi w sobie ducha wojny, z której powstał. W tem leży przyczyna, że wszystkie wysiłki polityki, chociażby nawet były najszlachetniejsze, nie osiągają rezultatów. W tem także leży przyczyna, że pakty pokojowe, takie jak Kelloga, zanim jeszcze zostały podpisane, już tracą całą swoją wartość. W tem leży przyczyna, że na bliskim wschodzie pozostało zarzewie niepokoju, które może stać się niebezpiecznem nietylko dla mieszkających tam narodów. W tem także leży przyczyna, że ludy muszą z przerażeniem patrzeć jak liczne tak zwane antywojenne pakty zbiegają się z monstrualnem powiększaniem flot wojennych, łącznie z flotami powietrznemi, a zgroza ogarnia każdego, kto słyszy o okropnych skutkach, nowoczesnej wojny chemicznej. A przytem świat odczuwa silniej, niż kiedykolwiek, że zarówno w wojnie jak i pokoju połączony jest węzłami nierozerwalnemi, że na śmierć i życie wszystko na świecie ściśle jst z sobą związane..."

Przewodnią tezą artykułu jest stwierdzenie, że wszystko, co tylko podjęte zostało dotychczas na rzecz pokoju powszechnego, budowane było na piasku.

* * *

Socjaliści udają bardzo zadowolonych ze swego kongresu II Międzynarodówki, odbytego niedawno w Brukseli, a zakończonego odśpiewaniem tej samej Międzynarodówki, którą komuniści obrali sobie za swój hymn. Mówcy kongresowi wysilali się na największy optymizm i co chwila padały słowa o zaznaczającym się postępie międzynarodowego ruchu socjalistycznego. Robiono nawet porównania, z których wynikało, że dawne historyczne kongresy socjalistyczne nie były niczem w zestawieniu z kongresem obecnym. Stwierdzono pompatycznie, że delegacje organizacyj socjalistycznych zebrane na kongresie, reprezentują **siedem miljonów zorganizowanych członków partyj socjalistycznych, a dwadzieściapięć miljonów wyborców,** którzy głosy swoje odają na listy, względnie kandydatury, socjalistyczne.

Świat niestety nie uważał jakoś za stosowne zwrócić uwagę na ten kongres i w skupieniu wysłuchać też i wskazań tak potężnej organizacji. Zjazd kilku tysięcy legjonistów Józefa Piłsudskiego w Wilnie wywołał nieporównanie większe zainteresowanie i skupił na sobie w stopniu o wiele większym uwagę całego świata, niż zjazd drugiej socjalistycznej międzynarodówki.

Okoliczność ta nakazywałaby inne zgoła snuć porównania niż te, które czyniono w Brukseli. Dawniej, gdy — jak to określono na kongresie — ruch socjalistyczny zaledwie marzyć zaczynał o opanowaniu świata, świat nie przechodził z **tak druzgocącą obojętnością** nad zjazdami i manifestacjami socjalistycznemi. Dawniej każdy odruch socjalizmu śledzono z napiętą uwagą.

Widocznie **świat przestał już brać socjalizm i socjalistów na serjo,** przestał więc także zwracać na nich uwagę. Jest to niezmiernie symptomatyczne i powinno być stwierdzone.

Trzeba przyznać, że socjaliści na swoim kongresie czynili wszystko, aby przełamać tą beznadziejną obojętność. Mówcy kongresowi zdobywali się na taki radykalizm, na jaki nigdy nie potrafiliby się zdobyć w własnych państwach, a w rezolucji antywojennej powiedziano nawet, że jest obowiązkiem mas robotniczych wywrzeć jaknajsilniejszy nacisk, uciekając się nawet do form rewolucyjnych, na każdy rząd, któryby w razie konfliktu międzynarodowego odmówił oddania przedmiotu takiego konfliktu do rozstrzygnięcia przez sąd rozjemczy.

Nie pomogło i to. Nawet ta rezolucja przebrzmiała bez echa i to pomimo kanikuły. Socjalizmem świat przestał się interesować.

Bogusław Zabłocki.

Listy z Paryża

„Licho" pomiędzy Francją a Włochami. Alzacja i autonomizmy

Paryż, 24 sierpnia.

Doprawdy, jakieś licho czuwa nad tem, aby horyzont francusko-włoski nigdy się nie rozjaśniał. Zaledwie trochę się stosunki poprawią, zaraz gdzieś wybucha drobny incydent, który prasa wyolbrzymia, co znów powoduje odpowiedzi i na szereg tygodni niema mowy o serdeczniejszym w rozmowach francusko-włoskich tonie.

Sprawa ta nie jest dla Polski obojętna. Dyplomacja polska to rozumie i pracuje w miarę swych sił nad tem, aby porozumienie pomiędzy Paryżem a Rzymem nastąpiło na całej linji. Leży to w interesie obu krajów, leży także w interesie naszym, w interesie państw Małej Ententy. Motywować tego nie potrzeba.

Zebrał się kilka dni temu w Paryżu kongres Międzynarodowej Konfederacji Studentów (C.I.E.), której w swoim czasie przewodniczył p. Jundziłł-Baliński, a ostatnio Włoch Maltini. Ponieważ w związku z kongresem odbywały się w Paryżu międzynarodowe gry sportowe, przeto Włosi wysłali nad Sekwanę liczną bardzo delegację, pragnąc pokazać światu, ile zdziałali na polu rozwinięcia sportu wśród swej młodzieży. Istotnie i na tem polu faszyzm zrobił dużo. Piszę faszyzm, bo organizacja studentów włoskich jest ściśle hierarchji faszystowskiej podporządkowana.

Włosi wygrali turniej piłki nożnej. Licznie zebrani na trybunach ich rodacy zaczęli wnosić okrzyki „Eviva l'Italia!" i śpiewać „Giovinezzę". Wówczas z trybun popularnych podniosła się kontrmanifestacja. Dodać tu trzeba, że zawody odbywały się na stadjonie w Saint-Ouen, w okolicy podmiejskiej Paryża, znanej ze swej większości komunistycznej. Postawiona webec faktu manifestacji i kontrmanifestacji policja francuska zaczęła poskramiać manifestantów. Zapominając o prawach gościnności, czyniła to tak skrupulatnie, że kilku Włochów raniono, a potem nie potrafiono ich szybko odwieźć do pobliskiej apteki, celem uczynienia im opatrunków.

Fatalność! Licho! No bo przecież nikt na Włochów nie urządzał zasadzki, a policjanci paryscy, kiedy rozpędzają manifestantów, szturchańców nie żałują. I mnie się oberwało w roku zeszłym, kiedy przez ciekawość wiedziony śledziłem za przebiegiem awanturowania się komunistów na wielkich bulwarach z powodu afery Sacco-Vanzetti. Ale przecież nie telegrafowałem o tem, że „policja francuska bije polskich dziennikarzy". A podobne właśnie telegramy ukazały się w dziennikach włoskich. One to spowodowały antyfrancuską manifestację na „Piazza Colonna" 21 b. m.

Trzeba to „licho" zażegnać. P. Briand uchodzi za wielkiego czarodzieja, niechże więc nie patrzy tylko za Ren, niech swój kubeł z wodą locarneńską i swe pacyfistyczne kropidło skieruje też za Alpy. Tylko niech pamięta, że na ziemi włoskiej kwitnie teraz realizm, że skoro się pojednanie z Niemcami okupuje ustępstwami to trudno postępować inaczej z byłym sojusznikiem. Słowem nasza metafora o wodzie i kropidle ma tu tylko sens... alegoryczny.

Francja i Włochy muszą przeprowadzić generalny przegląd różnych niezałatwionych spraw, tak jak to Francja i W. Brytanja uczyniły dwadzieścia kilka lat temu.

Ponieważ Włochy nie roszczą sobie pretensyj do żadnej cząsteczki ziemi francuskiej, ani żadnego kawałka przedwojennego patrymonjum kolonjalnego naszej sojusznicy (wszystkie inne twierdzenia są plotkami); ponieważ domagają się tylko rewizji podziału kolonij lub terytorjów po-niemieckich czy po-tureckich wspólnie zdobytych— porozumienie powinno być dość łatwe.

* * *

Dnia 19 sierpnia, na cmentarzu wojskowym w miejscowości Wisches, na dawnej granicy francusko- niemieckiej, odbyła się bardzo znamienna manifestacja. Co roku na tym cmentarzu kombatanci francuscy składają hołd swoim towarzyszom broni, poległym tu w sierpniu 1914 roku. Ale w tym roku proboszcz z Wisches, ks. Rollat, odmówił wzięcia udziału w manifestacji. Oswiadczył, że powinno się tylko odbyć nabożeństwo w kościele, albowiem obchód na cmentarzu nie miał dotychczas charakteru dostatecznie religijnego. Uznano to za pretekst. Dopatrzono się w tem skutków agitacji autonomicznej w Alzacji, agitacji, prowadzonej w znacznym stopniu, przez kler katolicki.

Kiedy Mgr. Ruch, biskup strasburski, o odmowie proboszcza się dowiedział, oświadczył, że sam przybędzie na ceremonję i mszę pod gołem niebem odprawi. Tak się też stało. W swem kazaniu oświadczył ks. biskup

— Chrystus kazał nam kochać wszystkich ludzi; ale przedewsystkiem swą rodzinę, swój kraj...

Była to wyraźna wymówka pod adresem kleru alzackiego, którego przecież Mgr. Ruch jest głową. Kiedy wszystkie domy w Wisches były udekorowane w kolory narodowe, na plebanji ks. Rollata żaden nie powiewał sztandar...

Jasną jest rzeczą, że Mgr. Ruch, dobry Francuz, b. kapelan 20-go korpusu armji francuskiej, nie ma posłuchu wśród swego kleru. Jego polityka się nie powiodła. Alzatczycy nie myślą o oderwaniu się od Francji (garść półgłówków tylko o tem myśli), ale chcą autonomji regjonalnej, chcą krajowych urzędników, nauczycieli i krajowego... biskupa. Już się mówi o mianowaniu Mgra Ruch'a arcybiskupem Tuluzy.

Skoro o autonomizmie mowa, poniesmy się myślą z Wogezów do Bretanji. Odbył się w Châteaulin — tego samego dnia, kiedy Mgr. Ruch kazał w Wisches — drugi już kongres Autonomistycznej Partji Bretońskiej, której organem jest dwutygodnik „Breiz Atao", a której przewodzą pp. Mordrel i Duhamel. W kongresie wzięli udział delegaci autonomistów alzackich (pos. Kamil Dahlet, oraz niedawno ułaskawiony p. Paul Schall), korsykańskich (pp. Petru Rocca i Pasquale Manfredi), a także delegaci nacjonalistów irlandzkich, walijskich i flamandzkich. Dużo mówiono w Châteaulin o potrzebie „wyzwolenia Bretanji z pod francuskiego ucisku" i o „wyzwoleniu wszystkich ludów w ramach Stanów Zjednoczonych Europy"; z zapałem śpiewano stary hymn bretoński „Bro Goz ma radou" i wskazywano na potrzebę krzewienia literackiego języka bretońskiego...

Z politycznego punktu widzenia cały ten ruch poważny dziś nie jest, a nawet gdyby był — nie miałby naszej sympatji. Zasada narodowości doprowadzona do absurdu — to źródło ciągłych niepokojów, a nawet wojen. Ale z obowiązku dziennikarskiego musimy ten ruch śledzić. — Nie możemy zapominać, że kiedy w połowie zeszłego stulecia zaczął się w Belgji ruch flamandzki przyjęto go z takiem samem pobłażliwem ruszaniem ramion, jak dziś się przyjmuje w Paryżu bretoński autonomizm. Dodajmy, że agitatorzy alzaccy, bretońscy i korsykańscy wytworzyli wspólny „Komitet Mniejszości Francuskich", któremu sekretarzuje p. Duhamel.

Ruchy autonomistyczne we Francji ograniczają się dziś (z wyjątkiem Alzacji) do nielicznych kół młodzieży. Masy nic jeszcze o nich nie wiedzą. Nie są to zatem sprawy, któremi rząd głowę sobie zaprzątać musi. Ale w Alzacji, jak powiedzieliśmy, jest inaczej. Tam odtrutką na autonomizm jest tylko regjonalizm. Mniejsza zresztą o słowa, byle Alzatczycy mieli treść.

Kazimierz Smogorzewski.

U progu nowego roku szkolnego

Początek roku szkolnego jest prawie tą jedyną chwilą, kiedy całe niemal społeczeństwo zajmuje się szkołą. I nic dziwnego. Po kilkutygodniowej, choć nie zawsze beztroskiej, przerwie, przeszło czteromiljonowa rzesza dzieci i młodzieży przystępuje do pracy. Dla jednych to świat zupełnie nowy, kiedy dopiero wstępują do szkoły lub kiedy przechodzą do innych typów szkół, dla innych to tylko dalszy szczebel w drodze do celu. A o ten cel właśnie chodzi, o to, czy wyłożony wysiłek materjalny i moralny doprowadzi do spełnienia bliższych lub dalszych, skromnych lub wysoko sięgających zamierzeń. Stąd trwoga, obawa, niepewność. Ze zrozumiałych zupełnie motywów przyczyn tej obawy szuka się nie tyle w młodzieży samej, ile u tych czynników, którym się młodzież oddaje w opiekę, które ją mają ukształtować i wykształcić. Rodzą się zatem namiętne dyskusje na temat szkoły i nauczycieli, programów i metod nauczania, zasad wychowania i kształcenia, celów i środków.

I przyznać trzeba, że w tych dyskusjach przeważa ton krytyczny, często krytyki bardzo ostrej nawet. Faktem jest, że społeczeństwo nie jest z dzisiejszej szkoły zadowolone, że czyni jej liczne i poważne zarzuty, z których najważniejszy to ten, że ze szkoły dzisiejszej nie wychodzi młodzież taka, jakąby ją chciało społeczeństwo widzieć.

I tu stajemy wobec dziwnego faktu. Z jednej strony ogromny wysiłek władz szkolnych, społeczeństwa, nauczycieli, młodzieży, wre praca naprawdę poważna, buduje się gmachy, układa się programy, kształci się nauczycieli, gromadzi się pomoce naukowe, opieką otacza się młodzież jaknajtroskliwszą, dba się o jej zdrowie fizyczne i moralne, stosuje się najlepsze metody nauczania, jednem słowem wkłada się maksimum wysiłku, dobrych chęci i rozumnej, celowej pracy — z drugiej strony wyrzekanie na mierne rezultaty, niezadowolenie, skargi, to na przemęczanie młodzieży, to znów na rozleniwienie jej i na brak wiedzy, na obniżenie moralności i ideowości, na niedostosowanie szkoły do życia i t. d.

Jakieś dziwne i tragiczne nieporozumienie. Istota jego zdaje się polega na tem, że tak, jak nie osiągnęliśmy jeszcze równowagi w dziedzinie gospodarczej, społecznej i politycznej, tak jesteśmy wciąż jeszcze w stanie stawania się w dziedzinie wychowania. Podobnie jak w dziedzinie gospodarczej nowostworzony organizm państwowy spowodował zamęt z powodu braku czy to gotówki czy z powodu zmian rynków zbytu, produkcji, innego układu sił gospodarczych, tak w dziedzinie wychowawczej przejście do stwarzania własnych placówek i organizmów na gruzach dawnych a tak różnolitych, tak nam obcych, a jednak zakorzenionych tak silnie przez długie trwanie niewoli, powołanie do pracy — w związku z szybkim procesem powojennej demokratyzacji — całego społeczeństwa na miejsce dawniej ograniczonej liczby — wywołać musiało zupełnie zrozumiały ferment. A gdyby jeszcze ten ferment dokonywał się w warunkach normalnych, ujemne czynniki rychłoby się opanowało, tymczasem warunki te były anormalne, zrazu wywołane potrzebą obrony przed wrogiem, potem przełomami gospodarczemi, a wreszcie wciąż jeszcze trwającemi brakami w dziedzinie mieszkaniowej, uposażeń, drożyzny produktów pierwszej potrzeby i t. p. Ferment się jeszcze nie skończył, normalne warunki pomimo celowej i niestrudzonej pracy obecnego rządu nie powróciły, psychika nasza jeszcze się nie uspokoiła, światopogląd nasz wstrząśnięty przydatkiem przeróżnych drożdży jeszcze się nie ustalił.

I stąd te tragiczne nieporozumienia, stąd te niewspółmierne z włożoną pracą wyniki na polu wychowania. Śmiało można powiedzieć, że ogół nie uświadomił sobie jeszcze dostatecznie celów, jakie mu wskazuje własna państwowość, nie orjentuje się jeszcze dostatecznie w ogromie z dnia na dzień rodzących się zjawisk, nie umie pochwycić wytycznych w nowopowstałej różnolitości potrzeb i interesów, niezawsze umie się dostosować do tempa współczesnej z zawrotną czasem szybkością zdążającej chwili, nie zdaje sobie sprawy z tego, żeśmy się stali samodzielną cząstką ludzkości, która narzuca nam pewne obowiązki i zadania.

To też panuje dezorjentacja. A chociaż dalecy jesteśmy od generalizowania, to jednak stwierdzić trzeba, że dezorjentacja ta dotyczy tak rodziców, jak i nauczycieli. Dezorjentacja zaś środowiska powoduje dezorjentację młodzieży, która daleko silniej i żywiej, choć nieświadomie poddaje się nastrojowi chwili i tem silniej odczuwa ujemne warunki. Konieczność zaś szybkiego działania, by wypełnić olbrzymie wprost w stosunku do poziomu innych państw luki, które wytworzyła niewola, konieczność użycia do pracy w stosunkowo krótkim czasie ogromnych mas ludzkich, które trzeba było nagwałt zawodowo przygotować, konieczność szybkiej decyzji, gdyż każda chwila stracona może przynieść niepowetowane szkody, brak dostatecznych środków finansowych — spowodowały, że nowe formy życia na polu wychowawczem nie mogły żłobić sobie powoli koryta w umysłowości społeczeństwa i uświadamiać go na każdym kroku, że nie zawsze mogły się dokonywać w ścisłym związku ze społeczeństwem, zasięgać jego rad i pomocy i że niezawsze był czas i możność na dostateczną ocenę krytyczną zamierzeń i działań. Stąd też niejedna z nowych form wydaje się obcą i nieumotywowaną i społeczeństwo niema dostatecznych sił do wytworzenia odpowiedniego rezonansu. Stąd też brak tej jednolitej i jednozgodnej atmosfery, która decyduje przedewszystkiem o osiągnięciu celu wychowawczego, stąd niedociągnięcia czy przeciągnięcia z jednej i drugiej strony, brak koordynacji środków i wysiłków. Powstają zatem zbyt często dwie drogi, wiodące w przeciwne zupełnie strony i stąd nieporozumienia i niezadowolenie. Szkoła dzisiejsza znacznie wyprzedziła społeczeństwo, nie zdołała go jednak dostatecznie uświadomić i pouczyć o wartości i celowości tego szybkiego lotu, a nadto może niezawsze jeszcze wykonanie programu przekonuje o racjonalności postępowania.

To też u progu rozpoczynającego się nowego roku szkolnego wysunąć należy jeden zasadniczy postulat: aby wobec coraz bardziej ustalających się form życia tak jedna strona, jak i druga, to jest szkoła i rodzice doszli do jaknajściślejszego porozumienia między sobą, aby sobie wzajemnie uświadomili cele i środki, aby wytężyli wszystkie siły do rzetelnego ich wykonania, do poparcia tego, co dobre, a usunięcia błędów i niedomagań. To zaś porozumienie wzajemne wpłynie bezwarunkowo na wychowanie młodzieży, która dziś wobec ogólnej dezorjentacji często szukać sobie musi sama drogi, niezawsze jednak właściwej i często nieświadomie i bezkrytycznie poddaje się przeróżnym, niezawsze pożądanym wpływom.

Nik.

WYBRZEŻE POLSKIE

Zamiast wspaniałej fasady — wystawa nędzy bezplanowości i prymitywizmu

Pomiędzy Sopotami a Gdynią mamy, dzięki Lloyd George'owi, „granicę" gdańską. To, co pozostało w granicach Wolnego Miasta, jest porządane, czyste, obszerne, uregulowane, wygodne, a nawet wykwintne. Jest tam nieco drożej, ale tylko dlatego, że po polskiej stronie niema żadnej konkurencji równorzędnej. Niema — bo to, czego się szuka w Sopotach czy Oliwie, jest tylko tam i trzeba po to jeździć statkiem, samochodem, motorówką czy koleją z polskiego brzegu na brzeg gdański.

Nietylko **kasyno sopockie ciągnie te tłumy**, które przelewają się pomiędzy polskiem a gdańskiem wybrzeżem od rana do wieczora — jest jeszcze wiele innych, drobnych nieraz, a najmniej pierwszorzędnych potrzeb, których zaspokojenia szukać trzeba po stronie gdańskiej. **Płynie więc strumień polskich pieniędzy od kieszeni gdańszczan** a w dodatku Polak znosić musi jeszcze arogancję hakaty.

W kasynie sopockiem stawki zaczynają się wprawdzie tylko od dwuch guldenów i te minimalne stawki stanowią większość obrotów, a jednak bilans kasyna za ubiegły rok wykazuje **kilkadziesiąt miljonów guldenów czystego zysku.** Kasyno to jest też filarem finansów Wolnego Miasta i ono dostarcza funduszów na inwestycje nadbrzeżne Gdańska.

Dlaczego w Polsce niema domu gry? Boby to nieprzyzwoite, niemoralne, nieetyczne — bo skarb polski nie może ciągnąć korzyści z tak niemoralnego źródła. Czy nie tak się mówi? Przypomina się mimowoli **pogląd szlachty polskiej na handel:** Szlachcic zawsze miał dużo do sprzedania — wszystko, co produkował, wymieniał na złoto, ale sam nie handlował, bo to byłoby poniżej godności stanu szlacheckiego. „Niemoralny" ten proceder pozostawiał „gorzej" urodzonym: mieszczanom, przeważnie obcej narodowości i żydom. Mieszczanin porastał w pierze, a szlachcic zadłużał się u niego... i pogardzał nim. Dziś inne czasy — szlachcic oddawna już handluje, chciaż niezupełnie jeszcze wyzbył się swoich szlacheckich narowów w handlu, ale zato **Polska jako państwo ciągle jeszcze ma staroszlacheckie skrupuły i przesądy.** Żeby chociaż ten skarb był naprawdę tak wzniośle moralny. Ale gdzie tam: handluje przecież spirytusem. **Z z dwojga złego, mniejszem złem jest dom gry, niż monopol spirytusowy.** Za urojone skrupuły płacimy po **kilkadziesiąt miljonów złotych rocznie,** które obywatele polscy przegrywają w zagranicznych domach gry, a zwłaszcza w kasynie sopckiem.

Piszę te słowa pod wrażeniem reminiscencyj wakacyjnych. Jak mi opowiadano, wybrzeżem polskiem interesują się nawet goście zagraniczni. Najbardziej podoba im się końcowa część Helu z Jastarnią włącznie. Zdaniem ich opłaciłoby się zeuropeizować ten kąt, gdyż **powstałoby tam i szybkoby się rozwinęło miejsce wypoczynkowe,** nietylko na lato. Wymagałoby to bardzo dużych wkładów na ubezpieczenie brzegów, regulację, zalesienie, budowę dróg, urządzenia sanitarne i użyteczności publicznej, ale wystarczyłoby tylko odebrać kasynu sopockiemu klijentelę polską, by środki te się znalazły. **Kasyno mogłoby stanąć na sztucznej wysepce w zatoce Helu i połączonej kilometrowym monumentalnym pomostem - groblą z półwyspem.** Grobla byłaby jednocześnie aleją spacerową dla przyjezdnych, zamieszkałych w kolonji kasyna. Prócz tego nasuwa się projekt urządzenia tam **dużego terenu dla sportów zimowych przez odgrodzenie dużej przestrzeni zatoki wzdłuż brzegu.** Powstałoby w ten sposób duże jezioro, któreby w zimie zamarzało. Taka rzecz dobrze zrobiona, stanowiłaby **europejską atrakcję i ściągałaby do Polski rzesze sportowców z całej Europy.** Wszelkie warunki dla realizacji takiego projektu istnieją, gdyż część zatoki pomiędzy Puckiem a Nową Wsią, zamarza w zimie.

* * *

Wspomniałem o projektach, które może kiedyś będą podjęte i realizowane, bo trudno sobie wyobrazić, aby prędzej czy później nie zrozumiano u nas, że **należy imać się wszystkich środków, które mogą się przyczynić do poprawy naszego bilansu płatniczego przez ożywienie ruchu turystycznego z jednej strony, a powstrzymanie emigracji obywateli polskich do zagranicznych miejscowości rozrywkowych, wypoczynkowych i sportowych z drugiej.** Aby prędzej czy później nie zrozumiano u nas, że **nakładanie wysokiej taksy na paszporty zagraniczne jest zbyt prostym, zbyt prymitywnym i zbyt brutalnym sposobem wpływania na bilans płatniczy, by mógł odnieść jakiekolwiek skutki — oprócz ujemnych.**

Narazie, gdy mowa o naszem wybrzeżu, nie można przedewszystkiem pominąć wielu braków, których usunięcie nie powinno nastręczać większych trudności. Przedewszystkiem więc niewiadomo, dlaczego do dnia dzisiejszego panuje na tym przepięknym skrawku ziemi **dzika swoboda budowania,** jak kto chce i gdzie chce. Weźmy dla przykładu Jastarnię i Bór, posiadające piękną plażę z dostępem przez las. Wioski te były bardzo słabo zabudowane — obecnie rozbudowują się tak, że ilość domów murowanych w ciągu ostanich kilku lat powiększyła się kilkakrotnie. Domy te, biorąc każdy oddzielnie, są nawet niebrzydkie, ale stawia się je, gdzie kto chce. Wygląd obu tych wiosek jest dzisiaj taki, jakby przeszedł tamtędy huragan i porozrzucał budynki na wydmie brudnego i głębokiego piachu. Ulice niewytyczone — zamiast tego wąskie ścieżki w piasku — a domki stoją sobie, odwrócone do tych „ulic" tyłem, bokiem, ukosem. Gdzieniegdzie drewniany ustęp ozdabia zwróconą ku ulicy murowaną ścianę domu i... pachnie na okolicę. Co kilka kroków brudny stragan, mieszczący handel artykułów pierwszej potrzeby, a niekiedy nawet towary zbytkowne. Podobnie wyglądają Kuźnica i Chałupy, tylko jeszcze narazie na mniejszą skalę.

* * *

A Hel? Któż nie pamięta dawnego Helu z cichą uliczką, zabudowaną domkami w stylu holenderskim? Dzisiaj — zabudowań przybyło dużo, w miejsce starych drewnianych pomostów w przystani zbudowano nowe, wspaniałe, betonowe. Przystań pogłębiono dla licznie przybywających w sezonie statków. Nabudowano wiele „will", ale byle gdzie i byle jak. Wszędzie pełno straganów i bud — przekupnie handlują tu w sezonie wszystkiem — zupełnie jak na odpuście w Psiej Wólce. Pełno też jakichś namiotów: tu skauci, tam jakieś przytułki, to znowu jakieś wycieczki. A nad tem wszystkiem unosi się jakaś specyficzna **atmosfera tymczasowości i pośpiechu** — ogląda się tu jakby **wystawą biedy i nędzy z głębi kraju wywleczonej.** A spojrzeć jeszcze na aleje leśne i z trudem zalesione wydmy. Pełno tam kręcących się biednych dzieci z owych namiotów, najczęściej nędznie odzianych, brudnych i przeważnie luzem i bez opieki wałęsających się. Bez liku po nich śladów zniszczenia roślinności, porzuconych pudełek, papierów, stłuczonych flaszek, nieczystości... A jeszcze Magistrat Warszawski ma budować tam nowy jakiś przytułek czy lecznicę dla biednych dzieci i jeszcze kilka podobnych zakładów ma tam powstać.

* * *

Daleki jestem od jakiegoś okrucieństwa, ale **czy my doprawdy nie mamy już gdzie stawiać przytułków, zakładów wychowawczych i lecznic dla nieszczęśliwej dziatwy?** Czy koniecznie na ten cel trzeba wybierać **ten najbardziej reprezentacyjny skrawek naszej ziemi, ten skrawek naszego polskiego wybrzeża, którego każda piędź powinna być wyzyskana, bo tak mało go posiadamy.** Mamy przecież całe Podkarpacie, prawdziwą skarbnicę leczniczą, mamy przepiękny kąt na pograniczu rumuńsko-czechosłowackiem o wymarzonych warunkach klimatycznych.

Trzeba pamiętać, że ten skrawek wybrzeża naszego, **to nasz front na świat,** i że o ten front należy dbać i wedle sił go upiększać. Warunki naturalne są nienajgorsze, a w wielu wypadkach lepsze nawet, niż na wybrzeżu gdańskiem, trzeba tylko trochę dobrej woli i zrozumienia niesłychanie ważnej roli i olbrzymiego znaczenia **tego naszego okna na świat.**

Był czas, że zdawało się, iż co do tego zapanowało wśród władz administracyjnych całkowite zrozumienie. Stworzono **starostwo morskie** i powierzono je generałowi **Zaruskiemu.** Placówka ta miała roztoczyć wszechstronną opiekę nad wybrzeżem — niestety zlikwidowano ją i powołano do życia placówkę administracyjną innego typu. Należałoby sobie życzyć, aby ta reorganizacja nie oznaczała poniechania planów, jakie przyświecały gen. Zaruskiemu i aby nowa placówka, mająca zarządzać wybrzeżem, naj ważniejszy cel swojej działalności widziała w dążeniu **do zeuropeizowania wybrzeża polskiego,** w dążeniu do postawienia na tym najcenniejszym skrawku polskiej ziemi fasady, godnej trzydziestomiljonowego państwa. Dotychczasowy stan rzeczy nie może trwać nadal. Nie wolno nam dłużej dopuszczać do tego, by cudzoziemiec, który drogą morską przybył do Gdyni, chcąc spędzić kilka chwil na rozrywce lub w kulturalnem otoczeniu, musiał wyjeżdżać na terytorjum Gdańska. Morze ma swoje prawa i swoje wymagania — gdy więc nakładem wielkich środków budujemy wspaniały port w Gdyni, w którym z roku na rok kipi coraz to większy ruch, **nie wolno tolerować nam tego, by prawie wszystkie korzyści tego ruchu zagarniał Gdańsk.**

Trzeba na to dużo pieniędzy? Tak, trzeba bardzo wiele. Ale pieniądze te nietrudno będzie znaleźć. Trzeba tylko zrozumieć, że posiadanie wybrzeża i dużego ruchliwego portu morskiego pociąga za sobą pewne konsekwencje. Dotychczas my posiadamy wybrzeże, budujemy port, robimy wszystko, aby jaknajbardziej go ożywić, a Gdańsk zagarnia korzyści. Miasta portowe i miejscowości nadmorskie **nietylko bowiem na frachtach zarabiają.** Do tych innych zarobków my przedewszystkiem mamy prawo i musimy uczynić wszystko, aby je dla siebie zdobyć. Wyboru wielkiego nie mamy, ani zbyt rozległego repertuaru możliwości, trzeba więc wyzyskać te, które są.

Polacy, którzy swoje pieniądze przegrywają w Sopotach, na rzecz hakatystycznego Gdańska, przegrają je tak samo chętnie na Helu. A za te pieniądze powstanie na wybrzeżu rzecz piękna i będzie można bez kłopotliwego zażenowania pokazać ją nawet najwybredniejszym cudzoziemcom. Perspektywa dobrego zarobku sprawi, że nie będzie nawet potrzeby dopuszczania kapitałów zagranicznych, bo **miljony potrzebne znajdą się zapewne w kraju.**

A wreszcie i o tem należy pamiętać, że zeuropeizowanie naszego wybrzeża będzie o wiele lepszą propagandą polskości tej ziemi, niż dzisiejsza bezplanowość i wystawa nędzy i kalectwa.

Sylwan.

Skrócona służba wojskowa

Ustawa z dnia 23 maja 1924 r. o powszechnym obowiązku wojskowym, której jednolity tekst został ogłoszony w Dz. Ust. Nr. 46 z r. 1928, przyznaje w art. 49 absolwentom szkół średnich i niektórych zawodowych przywilej **skróconej, t. j. 15-miesięcznej służby wojskowej.** Przywilej ten jest zupełnie uzasadniony i tylko należałoby przepisy o skróconej służbie i odroczeniach stosować praktycznie w ten sposób, by przywilej ten nie stał się ciężarem, którego zrzekłby się chętnie każdy uprawniony.

Ustawa o powszechnym obowiązku wojskowym postanawia, że uprawnieni do odbycia skróconej służby wojskowej swą powinność wojskową spełniają **w szkołach podchorążych rezerwy,** które mają za zadanie przygotować odpowiednią ilość wyszkolonych oficerów na wypadek wojny Tych szkół jest zaledwie kilka i to z ograniczoną ilością miejsc. Liczba uprawnionych do służby skróconej, a więc liczba kandydatów do szkół oficerów rezerwy, jest zaś bardzo znaczna, bowiem oprócz normalnego, corocznego dopływu absolwentów szkół średnich, mamy sporo młodzieży uniwersyteckiej i innej, korzystającej dotychczas z odroczeń, które jednak wobec wprowadzenia w życie uzupełnień ustawy z dnia 23. V. 1924 r. zostały lub zostaną w najbliższym czasie cofnięte.

W ten sposób, w tym roku już przy pierwszym poborze jednorocznych, który miał miejsce w lipcu (drugi odbędzie się w październiku dla tych, którzy mają poza sobą służbę ochotniczą) okazało się, że **ilość kandydatów do szkół oficerów rezerwy kilkakrotnie przewyższa ilość miejsc w tych szkołach.** Ten nadmiar wywołał zamęt i naraził państwo na znaczne koszty, a jednorocznych na stratę czasu, gdyż przez pierwsze tygodnie wielu przerzucano ze Śremu do Rawy Ruskiej, z Rawy do Cieszyna, stąd do Tomaszowa i t. d. i ostatecznie w wielu wypadkach po miesięcznej peregrynacji na koszt Skarbu, zwalniano powołanych wobec braku dla nich lokaty. Takie postępowanie władz powołanych do poboru rekruta, które nie przewidziały tego, co przewidzieć należało i czego można było z łatwością uniknąć, naraziło Państwo nietylko na straty materjalne, ale do pewnego stopnia i moralne, gdyż osłabiło w jednorocznych i to w pierwszych chwilach ich służby, wiarę w dyscyplinę i sprężystą organizację naszej armji.

Powyżej wspomniałem o odroczeniach. Otóż uprawnieni do służby skróconej mogą odbyć ją dopiero w 23 roku życia, a nie jak normalnie przewiduje ustawa — w 21-ym z tem zjastrzeżeniem, że odbywają studja teoretyczne lub praktyczne (art. 57 p. 3, art. 61 p. 2 i art. 62). Przepis ten winien być zmieniony, gdyż w dotychczasowem swem brzmieniu, stosowany w praktyce, raczej więcej wyrządzi krzywdy, niż ułatwień w studjach. Normalny wiek absolwenta szkoły średniej, to 19 rok życia, a więc do służby wojskowej, rozpoczynającej się w 21 roku, niewystarczający. Korzystając z przepisów o odroczeniu służby wojskowej, absolwent szkoły średniej może rozpocząć studja i korzystać z odroczeń — nie dłużej jednak, jak przez 4 lata, gdyż w 23 roku życia, bez względu na zaawansowanie w studjach (art. 62), zostaje powołany dla odbycia powinności wojskowej. A tymczasem w ciągu 4-ch lat tylko wyjątkowo zdolne jednostki kończą czteroletni kurs szkoły wyższej, zaś znakomita większość studjujących jest zazwyczaj w tym czasie dopiero w połowie drogi lub też zbliża się ku terminowi egzaminów dyplomowych. W takim momencie zostaje ona oderwana od pracy i powołana do wojska. Taka przerwa w studjach, nieunikniona przy stosowaniu art. 62, jest oczywiście fatalna i dlatego brzmienie tego artykułu należałoby zmienić. Najlepiej byłoby, gdyby młodzież, uprawnioną do skróconej służby wojskowej powoływano **zaraz po ukończeniu przez nią średnich szkół.** Miałoby to i tę jeszcze dobrą stronę, że pozwalałoby młodym maturzystom w ciągu rocznej służby poznać swe skłonności i zrobić wybór przyszłego zawodu — pewniejszy aniżeli bezpośrednio po ukończeniu gimnazjum. Wyjątkowo młodym lub niedostatecznie rozwiniętym fizycznie maturzystom należałoby udzielać odroczeń, ale nie na zbyt krótki przeciąg 4-ch lat, a **do czasu ukończenia studjów** t. j. do czasu, dopóki będą mogli wykazać się odpowiedniemi świadectwami, że pracują i osiągają przepisane wyniki.

Tymczasem zaś, póki nie zostaną wydane odpowiednie zmiany, **wobec natłoku, jaki mamy w roku bieżącym w szkołach oficerów rezerwy,** należałoby wydać zarządzenie, by w dalszym ciągu Pow. Kom. Uzupełnień **udzielały odroczeń** tym, którzy są na ukończeniu studjów, a szczególniej jeśli mają poza sobą służbę ochotniczą z r. 1920, choćby już przekroczyli **wyjątkowo** maksymalny wiek 25 lat (art. 62), a przedewszystkiem brać do wojska maturzystów z tego roku, wcielając ich do szeregów jako ochotników.

Janusz Latosiński.

Reklama w Ameryce

Najpierw pojawił się t. zw. *agent ogłoszeniowy.* Było to wówczas, gdy rozwój handlu, przemysłu i prasy dopiero się zaczął. Rola jego była bardzo skromna i prosta. Wypełniał tylko zlecenia, dane mu przez firmy. Z reklamą, jako taką, nie miał nic wspólnego.

W stosunkowo krótkim czasie agent ogłoszeniowy zrozumiał jednak, że chcąc ugruntować swój zawód musi dbać o to, aby ci, którzy dawali mu zarobek w postaci zleceń ogłoszeniowych, przekonali się, że *reklama jest w stanie powiększyć ich dochody.* Pojął, że musi swoją rolę rozszerzyć i z pośrednika stać się *fachowym doradcą swoich klientów* i to takim doradcą, który stałby się z biegiem czasu *niezbędny,* który potrafiłby zdobyć sobie całkowite zaufanie i decydujący głos we wszystkich sprawach reklamy. W ten sposób powstały *agencje reklamowe* i przedsiębiorstwa reklamy. Dzisiaj działalność tych agencyj jest powszechnie uznana i niema przedsiębiorcy, któryby nawet dopuścił myśl, że w tych sprawach może się obejść bez usług agencjireklamowej, tak samo, *jak nikt nie myśli o tem, by przy prowadzeniu procesu w sądzie obejść się bez pomocy i porady adwokackiej.* 90 procent ogłoszeń, ukazujących się w prasie codziennej, perjodykach i „magazynach“, których wartość wynosi *200 miljonów dolarów rocznie,* zapłaconych tym wydawnictwom, jest dziełem agencyj reklamowych. Zostały one przez agencje reklamowe obmyślone, zredagowane, zilustrowane i na odpowiednich miejscach w gazetach umieszczone. Około dwudziestu agencyj reklamowych wykazuje *obroty roczne powyżej jednego aż do ośmiu miljonów dolarów.*

* * *

Agencja reklamowa posiada pełne zaufanie swojej klienteli, udziela jej rad i wskazówek co do sposobów i organizacji sprzedaży, co do stosunków na rynku, układa plany kampanij reklamowych, *a często nawet bierze udział w sprawach czysto wewnętrznych przedsiębiorstwa,* jak metody produkcji i polityka handlowa przedsiębiorstwa.

* * *

Agent reklamowy musi być człowiekiem bardzo gruntownie i bardzo wszechstronnie wykształconym i musi posiadać bardzo gruntowne wiadomości kupieckie z każdej dziedziny handlu. Prócz tego musi mieć talent wpływania na ludzi słowem pisanem.

* * *

Pierwszą usługą, jaką agent reklamowy oddaje swmu klientowi jest opinja, *czy należy wogóle wszczynać kampanję reklamową,* czy też raczej powstrzymać się od tego, aby nie narazić się na straty. Uczciwa agencja, *a wszystkie prawie agencje reklamowe w Ameryce są uczciwe,* bezwzględnie odradzi wszczynania kosztownej kampanji reklamowej, jeżeli istnieją jakiekolwiek wątpliwości, czy pożądany skutek zostanie osiągnięty. Jeżeli np. towar, który ma być reklamowany, nie stoi na wysokości, jeżeli niema szans dla stworzenia zapotrzebowania, jeżeli towar konkurencyjny jest lepszy, niż ten, który ma być reklamowany, agent będzie odradzał klientowi wszczęcie kampanji reklamowej, a czasem nawet na wyraźne żądanie klienta nie podejmie się jej. Jeden ze znanych nowojorskich agentów reklamowych otrzymał od pewnego fabrykanta listowne upoważnienie do zorganizowania reklamy w ramach *20,000 dolarów.* Fabrykant przez tydzień oczekiwał odpowiedzi. Po tygodniu agent zjawił się u niego osobiście, a na wyrzuty zniecierpliwionego klienta zapytał:

— „Co pan przypuszcza, że przez ten tydzień robiłem?“

— ???

— „Zwiedzałem fabryki trzech pańskich konkurentów i z wszystkich informacyj, które obecnie posiadam, stwierdzam fakt, że pan nie znajduje się w takiej sytuacji, by wszczynać kampanję reklamową. Byłoby to stratą pieniędzy“.

Oburzenie fabrykanta nie miało granic, ale w końcu agentowi udało się przekonać go, że maszyny jego są przestarzałe, że towar towar jest gorszy od towaru konkurencji i że konkurenci są w stanie w razie potrzeby obniżyć ceny swoich towarów.

Po dwuch latach dzięki uwagom agenta fabryka została zreorganizowana i dzisiaj ten sam agent umieszcza dla niej rocznie ogłoszeń *za 200 tysięcy dolarów.*

* * *

Przed rozpoczęciem kampanji reklamowej agencja bada stosunki na rynku w odniesieniu do towaru, który ma być reklamowany. Zbiera również szczegóły, dotyczące przedsiębiorstw konkurencyjnych, ich sposobów sprzedaży i produkcji, porozumiewa się z hurtownikami i detalistami odnośnej branży, bada w jakich okolicach zbyt może być najlepszy i jakie metody sprzedaży należałoby zastosować. Obmyśla również środki, celem ewentualnego paraliżowania akcji reklamowej i konkorencyjnej ze strony firm konkurencyjnych. Dopiero po zebraniu tych szczegółów przystępuje do opracowania planu kampanji.

Sam producent zbyt blisko stoi swego przedsiębiorstwa, aby mógł uzyskać obraz objektywny. Agencja patrząca z boku i ogarniająca całość w perspektywie i otoczeniu konkurencyjnem, zdolna jest dostrzec szczegóły, które dla producenta bardzo często przez długie lata były niedostrzegalne. Czasem jakiś bardzo prosty szczegół, jak np. zmiana opakowania i t. p. decyduje o powodzeniu.

Producent amerykański przywiązuje do takich badań, dokonywanych przez agencje reklamowe, tak wielką wagę, że zwraca się o nie nawet bez zamiaru wszczynania kampanji reklamowej. Agencje pobierają za takie usługi specjalne wynagrodzenie. Niekiedy kilku funkcjonarjuszów agencji po kilka miesięcy spędza w podróży pa całym obszarze Stanów, aby zbadać możliwości zbytu jakiegoś artykułu. Liczba przedsiębiorstw, które wydają corocznie na takie badania agencyjne po 10,000 dolarów i więcej jest bardzo znaczna.

Nie ulega wątpliwości, *że do takiej pracy agencja nadaje się o wiele lepiej, niż własna organizacja producenta.* Wywiadowcy agencji patrzą się na rzeczy o wiele bezstronniej, co jest prawie niemożliwem dla ludzi, należących do przedsiębiorstwa, a co najważniejsze, ludzie inaczej rozmawiają z reporterem agencji, niż z przedstawicielem zainteresowanego przedsiębiorcy. Wywiady, prowadzone przez przedsiębiorstwo bezpośrednio *zawsze są zabarwione pewnemi względami,* podczas gdy wywiady uczciwej agencji dają obraz najzupełniej objektywny i bez żadnego retuszu.

* * *

Niezmiernie ważną rzeczą jest przy kampanji reklamowej wybór czasopism, w których mają być drukowane ogłoszenia. Ilość czasopism w Stanach Zjednoczonych sięga kilkudziesięciu tysięcy. *Wiadomości, które w tej dziedzinie posiada producent są zawsze niewystarczające.* Tymczasem agencja zna wszystkie szczegóły, jak: ilość wydawanych egzemplarzy, reputację pisma, środowisko, w którem jest czytane, kierunek polityczny pisma i t. p. W każdej miejscowości jest pismo, które dominuje. Jeżeli w danej miejscowości użyte ma być tylko jedno pismo, wiadomość taka warta jest tysiące. Producent, zwracający się w sprawie reklamy do agencji, ma zgóry pewność, że nietylko reklama będzie skuteczniejsza, ale i tańsza, niż gdyby sam sobie ją organizował.

Istnieją w Ameryce agencje, które prowadzą reklamę *tylko dla jednego przedsiębiorstwa,* olbrzymia większość posiada jednak klientelę szerszą. Organizacja takiej agencji jest dosyć skomplikowana. Posiada więc taka agencja reklamowa najpierw t. zw. *solicytatorów,* czyli agentów, którzy są niejako sprzedawcami usług agencji, następnie posiada specjalistów do redagowania treści ogłoszeń, artystów rysowników i malarzy do ilustracyj, agentów, którzy układają się z pismami o ceny i warunki, korespondentów, biuro wywiadowcze, biuro kontorli pism, które kontroluje wykonanie zamówień przez pisma i t. d. Są agencje, zatrudniające w centralnych biurach *do 200 osób,* ale są i takie, które zatrudniają tylko po sześciu funkcjonarjuszów. Są agencje, które wyspecjalizowały się tylko w jednej branży, np. agencje zajmujące się reklamą instytucyj finansowych, handlu spożywczego, wyrobów tytoniowych, fabryk samochodowych i t. p. W takich agencjach pracują wysoko ukwalifikowani fachowcy odnośnej branży.

* * *

Działalność współczesnej agencji reklamowej w Stanach Zjednoczonych obejmuje z reguły następujące działy:

Badanie rynku i wywiady sytuacyjne, opracowywanie kampanij reklamowych, redagowanie treści reklam wszelkiego rodzaju, sporządzanie rysunków i ilustracyj reklamowych, wybór środków reklamy, dostawę klisz, fotografij i t. p.; przygotowywanie katalogów reklamowych, redagowanie broszur, ulotek, plakatów, nadzór nad hurtownikiem i detalistą i uświadamianie go o kierunku i rodzaju reklamy, jaką prowadzi producent oraz o celach, do których dąży się przez reklamę.

* * *

Za ogłoszenia w czasopismach agencja liczy ceny, pobierane przez pisma. Klisze i ilustracje dostarcza ściśle po cenie własnej. Wywiady i informacje stanowią oddzielny rachunek.

Dochód agencji stanowi owych *15 procent,* które otrzymuje od czasopism tytułem rabatu od nominalnej ceny ogłoszenia. Niektóre magazyny i mniejsze dzienniki płacą 25 procent. *Producent, ogłaszający się bez pomocy agencji, rabatu tego pod żadnym warunkiem nie uzyska.* Pod tym względem niema wyjątków. Pisma rozumieją doskonale, co zawdzięczają agencjom i dopomagają im według możności. Gdyby nie agencja, rozwój reklamy nigdy nie doszedłby do dzisiejszych rozmiarów.

* * *

Powstaje jeszcze pytanie, czyje interesy reprezentuje agencja: *czy interesy wydawcy pisma, czy interesy ogłaszającego się.* Starano się często dowieść, że agencje reprezentują interesy pism. Pojęcie takie jest zupełnie mylne. Ogłaszający się wie doskonale, że agencja otrzymuje od pism prowizję i wie, że on płaci tę prowizję, ale wie równocześnie, że sam tej prowizji nie otrzymałby i zdaje sobie sprawę z tego, że agencja reklamowa musi przedewszystkiem reprezentować *jego interesy,* gdyż jeśli wysiłki jej okażą się bezowocne, straci klienta, a wówczas od pisma także nic nie otrzyma.

Agencja reklamowa jest więc w gruncie rzeczy *doradcą i jakby wspólnikiem ogłaszającego się.* Są agencje, które przez niesłychany rozwój przedsiębiorstwa, jaki nastąpił dzięki ich reklamie, zostały tak zbratane z tem przedsiębiorstwem, że dzisiaj stanowią jakby jego część organiczną.

* * *

Najważniejszem zadaniem agencji jest nietyle układanie ogłoszeń i celowe ich umieszczanie, ile i przedewszystkiem *znalezienie tej genjalnej idei, tego punktu oryginalnego, tego magnesu, który rozstrzyga o powodzeniu.*

Ten punkt charakterystyczny reklamowanego towaru musi agencja znaleźć i odpowiednio narzucić go publiczności.

Pewien agent nowojorski został powołany do zorganizowania reklamy nowej firmy, sprzedającej na wielką skalę owoc kalifornijski t. zw. „grapefruit“.

Specjalista wysłany został do Porto Rico dla zwiedzenia i zbadania plantacyj. Bawił tam kilka tygodni i silił się, aby wynaleźć dobrą charakterystykę, genjalny „szlagwort“ dla tego owocu... Ogarniało go już zwątpienie, gdy pewnego razu w rozmowie z robotnikiem na plantacji zapytał go, czem właściwie ten „grapefruit“ różni się od innych.

— Jakto, czy pan nie widzi — rzekł robotnik — że to nie jest zwykły „grapefruit“, lecz kula soczysta („balls of juice“).

To określenie „balls of juice“ stało się kluczem kampanji reklamowej, której powodzenie było olbrzymie.

(New-York).

Henryk Koźmian.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

Teoretycy

— Jakto? To pan nie słyszał, że Lange pojechał do Paryża? zapytał młodzieniec wytrzeszczając zdziwione oczy. — Wogóle nie wie pan o ostatnich sukcesach Langego?

— Czyżby co nowego wydał?

— Nie rozumiem. Że „wydał"... jakto „wydał?"

— Nowy tom poezyj... może jakie tłumaczenie, nowele wreszcie?

— To Lange pisuje poezje? Słyszałem o Wierzyńskim, ale ten... A to kawał! Dość, że pojechał do Paryża z drużyną...

— Z czem znowu? Przecież to chory człowiek!

Młodzieniec rozłożył ręce.

— O kim pan właściwie mówi?

— O kimże! O poecie Antonim Lange.

— Ech! Pan żartuje. Co ja mogę o takim wiedzieć? Mówiłem o prawdziwym Langem, który na Olimpjadzie zdobył pierwsze miejsce w jednokilometrowym biegu na czas. Dość że on, Kostrzewski...

— Skąd Kostrzewski? Nieboszczyk?

— Co znowu!

— Oddawna nie żyje Kostrzewski. Rysownik, karykaturzysta...

— At! Z panem nie można rozmawiać. Zupełnie się pan nie orjentuje.

Machnął ręką, przyczem strącił mi ze stolika książkę.

— Ostrożnie, roztrzęsie mi pan Boską Komedję, panie Zbyszku.

— Boską? Słyszałem coś o Nieboskiej... a może to omyłka? Nawet ją dawali w Narodowym, ale zrobiła klapę. Zostawić panu „Sportowy?" Już go umiem na pamięć. Dowidzenia.

Możnaby wnosić, że pan Zbyszek, żywiący tak wspaniałą pogardę dla świata intelektualnego, stanowi natomiast pyszny typ fizyczny, że jest zahartowany, wygimnastykowany, fechtuje się, pływa, wiosłuje, biega, skacze, kopie piłkę, strzela z łuku i rzuca oszczepem.

Otóż nie. Pan Zbyszek jest teoretykiem sportu.

Jest legjon takich teoretyków. Ich ubóstwo umysłowe wynagradza tężyzna fizyczna — ale w teorji. W rzeczywistości typy to koszlawe, karłowate lub limfatyczne, o plecach pałąkowatych i szmacianych bicepsach. I to te zdechlaki krzyczą najgłośniej, że dość już książkowej wiedzy, że świat należy do silnych, a ilość punktów, zdobytych na Olimpjadzie, więcej znaczy, niż jakieś tam referaty, wygłaszane na kongresach naukowych, na które pies ogonem nie kiwnie. Bo przecie to fakt, że cały świat zna Konopacką, a czy wogóle kto wie o tem, że właśnie odbywa się międzynarodowy kongres orjentalistyczny w Oxfordzie, na który pojechali i polscy profesorowie?

Można się zgodzić, że pięściarz rozbija stary świat pięścią i że urocza Konopacka godzi weń dyskiem. To jest t. zw. „czyn", wyraz, coprawda, brzydko oklepany, no... ale pojęcie zawsze szanowane. Lecz cóż może być niedołężniej głupiego od teorji sportu! Teorja tężyzny! Teorja bicepsu! Uciekanie ze świata abstrakcji umysłowej w coś tak pomylonego, jak świat abstrakcyjnej sprawności fizycznej!

Zapały pana Zbyszka zawsze były z drugiej ręki. Zawsze imponowała mu etykietka. Gdy była moda na francuzczyznę, pan Zbyszek wtrącał co parę słów: voilá! — mon cher — c'est ça. Bardziej zaawansowany pan Zbyszek mawiał: ça y est parbleu! — a nawet: zut! Potem pan Zbyszek rzucał z flegmą: yes! — very well! — all right! — a zaawansowany pan Zbyszek wymawiał nawet: oah yess! — przyczem krztusił się krótką fajeczką i zawijał spodeńki u dołu, bo w Londynie deszcz padał, i niedopinał kamizelki, bo Edward VII za wiele zjadł na obiad.

Następnie pan Zbyszek zamerykanizował się i nic mu już nie imponuje. Co to u nas! W Kalifornji, to tam dopiero!

Angielsko - amerykański pan Zbyszek przetapia się nieznacznie w pana Zbyszka sportowego. A zawsze — teorja.

Kochany panie Zbyszku! Sport nie jest i nie może być symbolem. Jedyna jego racja bytu w tem, że wyraża się bezpośrednio a tylko to można logicznie przeciwstawiać intelektualizmowi. Pan mu wyrządza ciężką krzywdę, panie Zbyszku, z niezdarnem, niewygimnastykowanem cielskiem, tym swoim teoretycznym hołdem!

To już możeby lepiej, zamiast lektury kurjerków sportowych (teorja), zastosować „piętnaście minut dla zdrowia" (praktyka). Zimny tusz trochę gimnastyki, a potem do książki.

A Konopacka nie obrazi się na pana, ja w tem.

T. Brudzewski.

Co można zobaczyć w paryskim music-hall'u?

Nie mam żadnej potrzeby prosić o pomoc moją wyobraźnię, skorzystałem bowiem z sierpniowych kanikuł i karty wolnego wstępu, by obejrzeć sobie dokładnie wszelkie rodzaje music-hall'u paryskiego. Uwaga w nawiasie: „Larousse" — dobrze jest zaglądać do encyklopedji, nawet rażące błędy posiadającej — zaopatruje to cudzoziemskie słowo następującym komentarzem, nader charakterystycznym: *„Le music-hall a remplacé l'ancien cafè-concert"*. Co, w przekładzie na język faktów oznacza: angielski sposób bawienia się zamienił dawny, francuski. Aż do poczciwych, brudem spatynowanych *„caf-conc"* dzielnicowych, które też wstydzą się już tradycyjnej nazwy *„gaîté"* i coraz liczniej stają się *music-hall*'owymi neofitami. Wogóle pretensjonalne małpiarstwo to przyjmuje rozmiary epidemji — *„coiffeur"* uważa, iż bardziej mu do twarzy z szyldem: *„Lavatory"*, *„balançoire"* kosztuje drożej z chwilą, gdy na desce zwykłej huśtawki widnieje napis: *„Balancing"*, *„balmusette"* pnie się na wyżyny *„Dancing*'u" choć jego bywalcami są w dalszym ciągu przeważnie typy w cyklistówkach i szalikach, etc. O ile jednak są to przejawy czysto zewnętrznego naśladownictwa, o tyle *„music-hall*'e", zwłaszcza pierwszorzędne, uległy gruntownemu przekształceniu, którego jedną z najznamienniejszych cech jest — podkreślę to odrazu — daleko posunięta szematyzacja przedstawienia.

„A tout seigneur, tout honneur" — zacznę od *„Moulin-Rouge*'u", oczywiście! Pewnie dużo w tem i mojej własnej winy — może źdźbło i zasługi — ale naprawdę dobrze bawiłem się w czasie ... antraktu. Stanąłem u wejścia, prawie na trotuarze bulwaru. Zajechała istna karawana auto-car'ów. Błyski monoklów, biel gorsów, czerń smokingów jaskrawe szminki, opalone dekolty, lśniące lamy. I biżuterja: od stóp — branzoletki pod jedwabiem pończoch, od głów — różnobarwna mozaika djademów. Jakiemuś opasłemu rzeźnikowi z Chicago zabrakło, widocznie, miejsca na pochwalenie się swoimi dolarami, gdyż wpakował spory brylant nawet w spinkę, przymocowującą kołnierzyk do koszuli, nie zapominając, naturalnie, opuścić nisko krawatu... Twarze? Doskonale znane aż do najdrobniejszych szczegółów dzięki Paramount'owi, Goldwyn'owi, etc... Piersi? Na miarę nietyle Fidjasza, ile, raczej, Forda — „zracjonalizowane", narówni z sercem i rozumem.

Cała ta snobizerja amerykańska przyjechała dopiero po 10-ej, ponieważ i tak „gwiazdy" występują zawsze w drugiej części przedstawienia tylko, a ich obowiązuje zobaczenie jedynie Mistinguette, w modnym skrócie zwanej: *„Miss"*. Po raz pierwszy widziałem tę sławę *„music-hall*'u" paryskiego, w tymże samym *„Moulin-Rouge'u" przed zgórą* 20-tu laty, kiedy nie była jeszcze ani z angielska *„star*'ą", ani z polska, poprostu, stara. Była wtedy rzeczywiście świetną „tinglówką". Czes jest bez litości i dla ciała, i dla rozumu ludzkiego; temu ostatniemu, jak się okazuje, nieraz wyrządza nawet o wiele gorszą krzywdę. Mistinguette bowiem wcale nieźle zachowała swoją przysłowiową niemal „linję", — pięknych rysów nie miała nigdy — ale za to przyszło jej teraz, po pięćdziesiątce z dobrym czubem, do głowy ni stąd, ni zowąd robić Sarę-Bernard. Poważnie, tragicznie i w... *„music-hall*'u"! I oto dlaczego w mocno „rozebraną revue: *„Paris qui tourne"* wplecione są dramatyczne dzieje ostatnich dni Jeanne Bécu, hrabiny du Barry, kochanki Ludwika XV. Odtworzono z dokładnością historyczną scenę sądzenia jej, wśród okrzyków sankiulockiej publiczności, przez Trybunał Rewolucyjny i prowadzenia przy warczeniu bębnów i czytaniu wyroku na gilotynę. Już sam *„sketch"* — rzecz naturalna, musi się to po cudzoziemsku nazywać — jest beznadziejnie głupi, a, na domiar złego, Mistinguette gra w nim główną rolę, jak ostatnia krowienta prowincjonalna. I po co taki *„Musée Grévin"* inscenizowany przez *„Moulin Rouge"?!* Chyba dlatego, że pewne potrawy koniecznie przyprawione być muszą pikantnym sosem; tembardziej, gdy przeznaczone są dla anglo-saskich podniebień...

Nazwałem poprzednio tę revue: „rozebraną". Użyłem rozmyślnie takiego przymiotnika, by odróżnić ją od dawnych, które zasługiwały na miano, prawie dosłownie, „nagich". Czyżby Paryż — mówię o bawiącym się i kosmopolitycznym Paryżu — wycnotliwiał? Wprost przeciwnie, ale dyrektorzy *„music-hall*'ów" przekonali się, że ta publiczność, z którą przedewszystkiem wypada im się liczyć, że panowie o dojrzałych i latach, i fortunach bez porównania chętniej „delektują się" widokiem oddzielnych fragmentów wdzięków kobiecych, aniżeli całością chociażby i wenusowej piękności. *Lubricitas locuta, causa finita...* Na wszelką jednak ewentualność kilka różnoplemiennych Ew, odzianych w wąziutkie „nabioderniki" z fałszywych brylantów, od czasu, do czasu przesuwa się przez scenę. *„Girls"* zaś, stanowiące — ilościowo, w każdym razie — główną atrakcję takiego przedstawienia, pokazywane są kolejno na tle nowojorskich drapaczy nieba, zielonych pampasów argentyńskich, malowniczych zaułków hiszpańskich, śnieżnych równin rosyjskich, wiśniowych krzewów japońskich, etc... Co one robią? Niewiele — kiwają głowami, machają rękami, kołyszą biodrami, tupią nogami, ale każdy z tych ruchów wykonany jest przez cały zespół z dużem poczuciem rytmu i z wzorową precyzją akrobatyczną. Dodać wysoki, zazwyczaj, poziom artystyczny strony dekoracyjnej, umiejętny dobór barwnych kostjumów i zręczne manewrowanie efektami świetlnemi, a łatwo domyśleć się można, że revue taka sprawia, bezsprzecznie, estetyczne wrażenie.

To wszakże nie wystarcza — muszą być i numery solowe. Żądają tego nietylko widzowie, których wymagania wzrastają proporcjonalnie do cen za bilety, ale i możni protektorzy różnych „gwiazdek", trawionych ambicją przejścia do kategorji „gwiazd". Na wszystko istnieje już dziś szemat o minimalnych wprost odchyleniach. A więc, pierwszorzędny *„music-hall"* musi posiadać parę tancerzy rosyjskich, lub przynajmniej pod rosyjskiemi nazwiskami występujących. Są to popisy o charakterze raczej gimnastyczno-atletycznym: ona biega na scenie na końcach palców, on robi nią maximum młyńców w powietrzu. Ukazują się w strojach egipskich, greckich, tatarskich, meksykańskich, w skórzniach gaucho'wskich, w atłasach rococo'wych, w łachmanach cygańskich, a nawet i w liściach figowych... Niezbędnym jest również jeden chociażby śpiewak i jedna śpiewaczka — przecież pomiędzy bywalcami zdarzają się i Francuzi, solidne mieszczuchy paryskie i prowincjonalne, dla których przedstawienie bez sentymentalno-pieprznej piosenki wcale nie jest przedstawieniem! Od kilku lat moda bezapelacyjnie nakazuje występy jakichkolwiekbądź *„sisters"* — mogą one być, ostatecznie, i nie siostrami wcale, pochodzenia czysto montmartre'owskiego, byle odznaczały się dużem podobieństwem, porcelanową urodą i długiemi nogami. Przewracają oczami, możliwie niebieskiemi, podkreślają dziewczęcą szczupłość kształtów i krygują się z perwersyjną zalotnością *„demie-vierge*'k" — niektóre grają role naiwnych tak bajecznie, że aż... wychodzą zamąż! Słowem cała revue podporządkowana jest wyłącznie estetyce wrażeń wzrokowych.

Miałem szczery zamiar opisać, bodaj pokrótce, inne jeszcze *„music-hall*'e" — *„Palace"*, *„Folies Bergères"*, *„Casino de Paris"*, *„Bobino"*, etc. — ale dochodzę do przekonania, że szkoda waszego i mojego czasu, nie mówiąc już o... pieniądzach redakcji. Charakter przedstawienia jest wszędzie jeden i ten sam, nie zmienia się też i wiek „znakomitych" artystek, nie posiadają one gdzieindziej więcej talentu, autorowie tych revues nie są inteligentniejsi... Więc o czemże pisać?!...

(Paryż).

Zygmunt St. Klingsland.

Angielski film

Jeszcze dwa lata temu nie słyszało się nigdzie na świecie o filmie angielskim. Produkowano wprawdzie w Anglji filmy, produkowano tysiące kilometrów taśmy filmowej, ale produkcja ta ani pod względem artystycznym ani pod względem technicznym nie przedstawiała nic godnego uwagi. Jeżeli nawet jakiś film pod względem technicznym nie pozostawiał nic do życzenia, a nawet wykazywał niejedną godną uwagi i frapującą zaletę, to zgóry wiadomem było, że tem więcej do życzenia pozostawia pod względem artystycznym. Anglicy przez długi czas nie umieli łączyć doskonałości technicznej z wymaganiami artystycznemi. I to nietylko w filmie.

Dzięki tym brakom angielskiej produkcji filmowej, rynek zalewały filmy obce, głównie amerykańskie oraz sporo niemieckich. Wobec takiej konkurencji podniesienie się wytwórczości angielskiej natrafiało na jeszcze większe przeszkody. Pojawiły się przeto głosy, domagające się reglamentacji przywozu filmów zagranicznych i wprowadzenia ceł ochronnych, motywując teżądania tem, że koniecznem jest, aby stworzony został przedewszystkiem zbyt na filmy angielskie gdyż tylko wtedy produkcja będzie mogła stopniowo usunąć swoje braki. Ponadto konieczność ceł ochronnych na filmy zagraniczne motywowano i tem , że musi być uczynione wszystko, aby rozległe dominja angielskie otrzymywały filmy krajowe, gdyż w filmach zagranicznych przemycane są często tendencje wręcz wrogie dla bezpieczeństwa Imperjum Brytyjskiego.

Pod wpływem tych głosów parlament angielski uchwalił ustawę, nakładającą wysoki podatek na filmy zagraniczne oraz nakazującą angielskim kinoteatrom wyświetlanie filmów produkcji angielskiej w pewnym procentowym stosunku do filmów zagranicznych.

Od tej chwili zaczęło się nowe życie w przemyśle filmowym. Kapitały, które unikały przedsiębiorstw filmowych, dla braku ufności w ich rentowność, płynąć zaczęły naraz obfitym strumieniem. Zaczęto budować wytwórnie i urządzać je w najbardziej nowoczesny sposób, zaczęto sprowadzać reżyserów i budzić zainteresowanie dla twórczości filmowej wśród świata literackiego.

Pierwsze filmy, które wyszły z tych nowych wytwórni, miały charakter propagandowy. Były to filmy wojenne, jak np. „Wojna Światowa" i „Emden". Ale znać już było w nich bogactwo środków, którymi przemysł filmowy mógł już dysponować. Równolegle niemal zaczęto produkować filmy oświatowe i naukowe, na które w Anglji popyt jest szczególnie wielki i któremi powszechnie już posługują się szkoły. Ukazała się więc serja p. t. „Tajemnice natury", zrobiona tak doskonale i tak precyzyjnie, że żaden z filmów tej serji nie ustępuje najlepszym tego rodzaju filmom zagranicznym, niemieckim i amerykańskim.

Ostatnio zaczyna się coraz lepiej rozwijać film melodramatyczny, osnuty najczęściej również na motywach wojennych lub kolonjalnych. Filmy te przepojone są tendencjami mocarstwowemi Wielkiej Brytanji i starają się uwypuklić na każdym kroku cywilizacyjną i kulturalną rolę Anglji, zwłaszcza w kolonjach. W filmach tych bardzo często biorą udział najsławniejsze i najpopularniejsze osobistości. I tak np. sławny angielski lotnik Cobham występuje w całym szeregu takich filmów, cieszących się ogromnem powodzeniem w Anglji, a silnie lansowanych w kolonjach. Do rzędu tych filmów należy również głośny film „Miss Cavell", osnuty na wypadkach wojennych, który wywołał demarche dyplomatyczne ze strony rządu niemieckiego, gdyż zademonstrowano w nim zbyt naturalistycznie okrucieństwa niemieckie na terenach okupowanych w czasie wielkiej wojny.

Oprócz tej politycznej i propagandowej produkcji, która stanowi jakby dowód wdzięczności za uzyskane od rządu przywileje i ochornę, rozwija się coraz lepiej także i produkcja niepolityczna i niepropagandowa. W tej dziedzinie przemysł angielski stara się naśladować najlepsze wzory amerykańskie.

Dzisiaj Anglja posiada już szereg bardzo wybitnych własnych reżyserów i zaczątki własnego ogródka gwiazd filmowych. W samym przemyśle filmowym spotyka się coraz częściej znane angielskie nazwiska. Między innemi jednym z obiecujących pionierów tego przemysłu jest młody Asquith, syn byłego premjera.

M.

Sto lat temu

Sto lat temu, gdy się okazało, że nawet Kongres wiedeński nie może wskrzesić świetności wersalskiego dworu, ani sielankowych zabaw w parku w Trianon—na mogiłę XVIII wieku zaczęły padać kwiaty. Kamienie, rzucone przez Jakobinów, pokryte zostały przez ciężkie wieńce pamiętników, pachnące wianuszki listów, różnobarwne wiązanki drobnych wspomnień, opowieści. Przy wiciu tych wieńców i układaniu wiązanek nie brakło oczywiście rąk kobiecych.

Wiązanką taką, a raczej ogromnym pękiem najrozmaitszych traw i kwiatów jest dzieło znanej i popularnej kiedyś także i u nas autorki — pani *de Geulis. Imponującej* długości tytuł określa niezupełnie ściśle treść książki, ale za to nienajgorzej stanowisko autorki wobec przeszłości i ówczesnej teraźniejszości.

„Słownik krytyczny i rozumowany etykiety dworskiej, zwyczajów światowych, zabaw, mód, obyczajów i t. p. Francuzów od śmierci Ludwika XIII aż do dni naszych, zawierający obraz dworu, towarzystwa i literatury XVIII wieku — albo duch etykiety i zwyczajów dawnych, porównanych z nowoczesnemi".

Zostawmy na uboczu, sporo miejsca zajmującą polemikę z encyklopedystami i Voltaire'm. Porównanie zwyczajów towarzyskich przed i porewolucyjnych jest o wiele ciekawsze. Przecież i dziś wciąż ktoś zestawia zwyczaje obecne z przedwojennemi.

Zacznijmy od mody. Suknie epoki cesarstwa uważa p. de Geulis za wygodniejsze i zgrabniejsze od strojów pań za panowania Ludwików. Ale i tamte były piękne: tyle zużywano na nie przepysznych materjałów, tyloma je ozdabiano klejnotami, że trudno było o widok piękniejszej rzeczy niż zebranie towarzyskie w owych czasach. Ale i w dziedzinie mody można było dojrzeć zapowiedź rewolucji. Oto na kilka lat przed wielkim przewrotem — djamenty przestały być modne. Zamiast nich noszono *„małe ziarnka ze stali albo szkła"*. Czegóż zapowiedzią są dzisiejsze sztuczne perły?

Mało pisząc o uczesaniu, poświęca autorka nieco miejsca fryzjerom. Za czasów jej młodości był to zawód kobiecy, po rewolucji mężczyźni odebrali kobietom to zajęcie, uczciwe i zyskowne i o wiele stosowniejsze dla tych ostatnich niż dla pierwszych.

Polemizując z encyklopedystami — niejeden pocisk skierowuje pani de Geulis na pojęcia i zwyczaje importowane do Francji z Anglji. Dzięki anglomanji gaśnie wesołość zebrań towarzyskich, tak, jak już dzięki niej zarzucone zostały turnieje na korzyść wyścigów konnych. Chciwość wszystko szpeci, bo czyż można równać konia wyścigowego z dawnym „dumnym rumakiem bojowym"?

Dawne szerokie fałdziste suknie posiadały kieszenie. I one znikły. Okazuje się, że „skasowanie ich wywołało pewien przewrót w gospodarstwie domowem. Panie stały się mniej staranne: gubią listy i klucze, z czego zawsze wynika strata czasu. *Nie można być równocześnie Venus Medycejską i doskonałą gospodynią.* Panie powinnyby przynajmniej w domu nosić suknie z kieszeniami — stwierdzić jednak trzeba, że właśnie w domu przebywają bardzo mało..."

Od sprawy gubienia listów, której to niedogodności zaradza dzisiaj naukowa organizacja pracy — przejdźmy do wynalazków. Tak przyzwyczailiśmy się do coraz to bardziej zdumiewających zdobyczy technicznych, że zdziwienie, graniczące z przerażeniem, ogarniające naszych przodków na widok pierwszych wynalazków, jest dla nas prawie niezrozumiałe. Pani de Geulis pisze tak o wynalazczości: *„Jeśli ten genjusz, wrogi pomysłowej zręczności i sile naturalnej, zachowa jeszcze czas jakiś swą groźną płodność — dojdzie do tego, że moraliści przestaną zaliczać do rzędu występków lenistwo i bezczynność, gdyż wszystkie istoty żyjące będą do bezczynności zmuszone. Wszystko, co przyroda ukształtowała dla pracy i dla czynu, będzie pozbawione ruchu. Ruch, czynność, pracę, znaleźć będzie można tylko wśród maszyn drewnianych, kamiennych czy żelaznych".* Żaden wyrób maszynowy nie dorówna wprawdzie wyrobom ręki doświadczego rzemieślnika, ale gdy maszyny się rozmnożą, owe wyroby ręczne, arcydzieła w swym rodzaju, zostaną zapomniane, a gdy zabraknie możności porównania, ludzie nie potrafią dostrzec nieudolności naśladownictwa maszynowego. Tak myślano o maszynach sto lat temu! Niebezpieczeństwa urojone zasłoniły niebezpieczeństwa rzeczywiste, które my dopiero zaczynamy dostrzegać.

Niechęć do maszyn nie przeszkadza pani de Geulis w domaganiu się praw politycznych dla kobiet. Zwłaszcza dyplomacja jest dla nich odpowiednia, gdyż nieraz już—obarczane tajnemi zleceniami — wykazały duże w tym kierunku zdolności.

Autorka poważnej ilości książek ma również wyrobione zdanie o bibljotekach. Jest przeciwniczką egzemplarza obowiązkowego! Według niej przyjęcie książki do wielkiej bibljoteki powinno być łaską, zaszczytem, wyróżnieniem, ale nie obciążeniem, podatkiem. Nie krępując nieograniczonej wolności prasy, panujący, względnie rząd, mógłby przecież tak samo, jak każdy obywatel dopuszczać do swych bibljotek tylko te dzieła, które mu się podobają. Należałoby więc mianować *cenzorów bibljotecznych.* Wówczas *„dzieła źle napisane lub niebezpieczne byłyby odrzucane — przyjmowanoby tylko utwory godne uznania i przez czas długi jeszcze nie trzebaby było powiększania sal"*, względnie gmachów bibljotecznych! Zauważony sto lat temu brak miejsca na nowe książki w bibljotekach paryskich wywołał powyższe uwagi, oparte — przyznać trzeba— na silnym zmyśle oszczędności.

Choć wielki ten słownik pani de Geulis zawiera wiele ciekawych wiadomości, nie jest on dziełem naukowem. Jest dokumentem chwili minionej, a podobnej do dzisiejszych. Jedna epoka skończyła się, nowa ledwie jest rozpoczęta, a ludzie nie zawsze umieją pogodzić wspomnienia i przyzwyczajenia dawne z teraźniejszością. Chcieliby potępić wszystkie nowości, lecz rozsądek zmusza ich do pochwalenia niejednej — chcieliby chwalić wszysto, co minęło, lecz doświadczenie każe im zastąpić stare narzędzia nowemi. Pani de Geulis cieszy się, że panie przestały nalepiać sobie czarne muszki na twarzy i że przed karetą magnacką nie biegną już laufrowie, ale nudzi się w porewolucyjnym salonie — może zresztą ma słuszność pod tym względem — i boi się strasznie maszyn.

My już się maszyn nie boimy. Ale chorujemy również na najrozmaitsze manje naśladowcze i nie zawsze umiemy pogodzić w sobie przeszłość z teraźniejszością. Postęp, pełen zapału, stara się odgraniczyć chińskim murem od tradycji, różnicą między bytem we własnem państwie, a bytem w państwie obcem i wrogiem nie przez wszystkich jeszcze jest zrozumiana, a ludzie, którzy jeżdżą automobilami, wzruszają ramionami, słysząc o lotach transatlantyckich.

J. Krasicka.

Teatry Warszawskie

(TEATR NARODOWY: *„Pan Brotonneau"*, komedja Flersa i Caillaveta. — TEATR LETNI: *„Wesele Fonsia"*, krotochwila R. Ruszkowskiego. — TEATR NOWOŚCI: *„Małka Szwarcenkopf"*, sztuka G. Zapolskiej.)

* * *

Zaczyna się w *„Panu Brotonneau* od tego, na czem się zwykle francuska komedja kończy: od rogów. Wyrastają one pewnego pięknego poranka (właśnie p o r a n k a: o godzinie 8.15) na głowie bohatera sztuki, idealnego urzędnika, który z tego powodu pierwszy raz w życiu spóźnia się do banku o całe dziesięć minut. Burza familijna i rozstanie z niewierną żoną. Ale po burzy promyk słońca, a nawet cała struga blasku słonecznego wpada w szarą egzystencję kasjera: to śliczna maszynistka Lulu darzy go najtkliwszem uczuciem i zajmuje rychło w jego domu miejsce po prawowitej madamie. Ale ta, wyszumiawszy wnet ze spóźnionych amorów, wraca, nie wiele pytając, do przerażonego męża i dotrzymuje coraz więcej towarzystwa zakochanej parze. Brotonneau i Lulu przyzwyczajają się powoli do tego specyficznego trójkąta małżeńskiego, ale — opinja publiczna czuwa. A moralność tej opinji orzeka: „można mieszkać z żoną, albo z kochanką, ale z dwiema równocześnie nie można; najlepiej porzucić kochankę i wrócić do węzłów małżeńskich, bo te węzły idą wprawdzie w tym wypadku w parze ze zdradą małżeńską i ciągłemi awanturami nieznośnej sekutnicy, ale za to są prawowite". I Brotonneau, ażeby nie stracić posady, musi tej „moralności" złożyć haracz nietylko ze szczęścia swojego i Lulu, ale z moralności istotnej: musi porzucić kochającą go kobietę.

Bo najwyższa moralność nie ma nic wspólnego z przeciętną, ogólnie przyjętą moralnością — stwierdza przedstawiciel opinji publicznej, szef kasjera Brotonneau. I tu leży sedno rzeczy. Walka tych dwu moralności stanowi jędro ideowe sztuki, kończąc się, jak zwykle, zwycięstwem etyki konwencjonalnej nad istotną. Smutne to zwycięstwo, i smutna jest w gruncie rzeczy ta komedja, jakże odmienna od innych sztuk Flersa i Caillaveta. Konkluzje rozważań moralnych, tak scharakteryzowanych dla francuskich pisarzy, są tu wręcz tragiczne, nawet gdy się je traktuje „na wesoło".

Ciekawej tej sztuce dodała nowych blasków niepospolita gra Jaracza w tytułowej roli. Nasilenie psychologiczne tej gry w połączeniu z maestrją techniki aktorskiej dało kreację wspaniałą, pełną kapitalnych momentów, że wspomnę tylko ową scenę, w której Brotonneau, przekonany przez swego szefa o grubej omyłce w rachunku, z rozpaczliwą pasją sprawdza go kilka razy. Z resztą wykonawców bywało rozmaicie. Dobrze grał Zieliński (Lardier), Rotter-Jarnińska (pani Brotonneau), debiutantka p. Marzewska (Lulu); źle — T. Frenkel, grzeszący stale nieinteligentną szarżą. Wreszcie role służących: jest w Warszawie tylko jeden artysta, który wkłada w nie dużo pomysłowości — to Kiernicki. Pozatem stworzono pewien szablonowy typ nieruchomego lenia i opasłej magnifiki, którzy na odgłos dzwonka mówią stale „zaraz, zaraz" i myślą, że to dowcipne. Reżyserja powinna tu trochę popracować i wyrzucić na jakiś czas do lamusa ten irytujący typ, reprezentowany w „Panu Brotonneau" przez p. Majchrzycką.

* * *

Dla tych, którzy lubią śmiech bez najmniejszego współudziału myśli, wznowiono *„Wesele Fonsia"*. Przy wznawianiu zaś takich starych i myszką dziś trącących sztuczek są do wyboru dwie drogi: albo dla osłabienia ujemnego wrażenia staroświecczyzny właśnie ją delikatnie podkreślać przez umiejętną stylizację i wtedy sprawa dla wybredniejszego widza będzie uratowana; albo też traktuje się ją poprostu, jak komedję współczesną, a wiejącą z jej niedzisiejszości nudę usiłuje się rozproszyć przez komizm, uzyskiwany za wszelką cenę, — i wtedy zadowolona jest galerja.

Reżyser „Wesela Fonsia" poszedł tą właśnie drogą. To też dał widowisko w całem tego słowa znaczeniu popularne, będące na swojem miejscu w teatrze na przedmieściu, ale nie w śródmieściu stolicy. Najlepszym wyrazicielem tego charakteru przedstawienia był Fertner w roli Mrozika, który dał postać farsową w najtańszym gatunku. Asem zespołu aktorskiego był Kurnakowicz, świetny komik, któremu wreszcie powierzono rolę pierwszoplanową. Jego Fonsio był przepysznie uchwyconym typem niezdary o złotem sercu, który czuje że go biorą na kawał, ale nie umie się przeciw temu obronić. Ponadto wyróżnili się pp. Chaveau, Orwid i Hnydziński.

* * *

Grupa artystów z Łodzi, Lwowa i Krakowa wystawiła na scenie Teatru Nowości starą sztukę Zapolskiej, *„Małkę Szwarcenkopf"*. Dobrze napisany ten dramat pochodzi z czasów, gdy w Polsce — jako reakcja przeciwko antysemityzmowi — budzi się wśród pewnych sfer społeczeństwa pierwszy silniejszy prąd filosemicki. Jak każdy pierwszy prąd, był on nacechowany pewnem upraszczaniem zagadnienia i sporą dozą przesady. Współczesny filosemita inaczej już na te rzeczy patrzy. Jest to coś podobnego, jak „chłopomanja" z epoki Konopnickiej, nie mająca nic wspólnego z charakterem dzisiejszego ruchu ludowego.

Sztukę zagrano po amatorsku. Przyczynił się do tego udział kilku aktorów, z których zwłaszcza wykonawca roli Maurycego Silberzweiga, a także realizator postaci Kolumny-Wiedeńskiego, nie powinni się byli znaleźć na scenie. Także rola bohaterki została zagrana bardzo słabo, zwłaszcza w początkowych częściach dramatu. To też pierwszy akt, w którym osoby te były na pierwszym planie, wypadł fatalnie, a inscenizowana w nim „orgja" wyglądała wprost smętnie. Później poszło trochę lepiej, gdy doszli do głosu aktorzy, odtwarzający role Jojnego (doskonały), starego Szwarcenkopfa i niektórzy inni. Akty w żydowskim warsztacie szewskim były dobrze wyreżyserowane. Natomiast o pomstę wołającym grzechem reżyserji było wstawienie do sceny zaręczyn Małki szeregu kupletów w żargonie, o których się Zapolskiej ani nie śniło. Takie „uzupełnienie" utworów literackich jest niedopuszczalne. Wykonywujący owe majufesy marszelik nie zaniedbał nawet odpowiednich pląsów, czem wywołał szczery entuzjazm nalewkowskiej gawiedzi z galerji. Snać echa kabaretowe, drzemiące wśród desek scenicznych teatru „Nowości", wywarły niemały wpływ na reżyserję, która zdecydowała się na zrobienie konkurencji... Krukowskiemu. Biedna Zapolska!

Ignacy Wieniewski.

Książki,

RUDY JAZON.

Hall Caine — Z a k ł a d n i k — powieść. Przełożyła z angielskiego Marja Kreczkowska. Instytut Wydawniczy „Renaissance" — Stanisławów. Tom drugi „R u d y J a z o n".

Oryginał angielski nie jest nam znany — nie ulega jednak wątpliwości, że w wydaniu polskiem pomieniano tytuły obu części tej głośnej i może najlepszej powieści Hall Caine'a. Częć pierwsza powinna nosić tytuł: „Rudy Jazon", a część druga „Zakładnik". Pozatem wydanie polskie rozbite jest na dwie na pozór zamknięte w sobie i oddzielne powieści, podczas gdy powieść ta stanowi w rzeczywistości całość w dwóch częściach. Ale to są szczegóły drugorzędne, wynikłe prawdopodobnie z omyłki, względnie podyktowane względami wydawniczemi. Rzeczą najważniejszą jest to, że powieść ta wogóle ukazała się w polskim przekładzie i to w przekładzie bardzo starannym.

Hall Caine należy nietylko do najpoczytniejszych pisarzy angielskich, ale ponadto słusznie uważany jest za najbardziej utalentowanego z pośród współczesnych i to nietylko w literaturze angielskiej.

„Rudy Jazon" przypomina niektóre z najcelniejszych i dawno najwyższą nagrodą literacką — nagrodą Nobla — wyróżnionych arcydzieł powieściowych pisarzy północnych. Talent conajmniej ten sam, ale sposób pisania nieco inny, bardziej bliski i bardziej przystępny dla nas. Akcja powieści rozgrywa się w środowisku północnem, na Islandji, bohaterami są ludzie północy. Postacie są tak samo mocne i pewnie narysowane jak w utworach Knuta Hamsuna, Ibsena, Marty Ostenso, tak samo głęboko ujęte, a jednak jest olbrzymia różnica między arcydziełami tamtych, a „Rudym Jazonem" Hall Caine'a. — W powieści Hall Caine'a uderza przedewszystkiem cudowna harmonja pomiędzy genjalnie zbudowaną akcją a rysunkiem postaci. Czyta się ją z zapartym tchem, tak jak się czyta utwory najbardziej frapujące i najbardziej przykuwające uwagę, a jednocześnie wnika się tak głęboko w postać bohatera, że na zawsze utkwi w pamięci genjalnie narysowana i mistrzowsko w tło wpleciona postać. Pod tym wzlgędem czytelnikowi polskiemu nasuwa się porównanie z arcydziełami Sienkiewicza, który również umiał malować typy nieśmiertelne i snuć dookoła nich akcję, od której czytelnik nigdy oderwać się nie może i do której ciągle powraca.

Powieść Hall Caine'a stanowi jeden z najcenniejszych nabytków naszej literatury przekładowej.

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE I KRONIKA

Uwagi krytyczne

Czy zrobiliśmy postępy w ocenie zjawisk gospodarczych?

III. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej

„Przy zestawieniu postulatów nie wolno nigdy zapominać o środkach, któremi Rząd współczesnej Polski może dysponować, nie wolno zapominać, że majątek narodowy na 1 mieszkańca w Polsce jest 6 razy mniejszy, niż w Stanach Zjednoczonych, a prawie 4 razy mniejszy niż w W. Brytanji lub Francji, zwyż 2 razy mniejszy, niż w Czechosłowacji".

(Z przemówienia p. min. Kwiatkowskiego w Poznania w dniu 24 lipca).

Tak mówił minister, polemizując z zasadniczym błędem, jakim jest w jego pojęciu to, iż „postulaty i żądania, skierowane w stronę Państwa i Rządu, wymierzone są zwykłe w skali bezwzględnej". Przyznając mu w tem całkowitą i niezaprzeczalną słuszność, nie można jednak zapoznawać i tego, że ten sam argument przemawia równie silnie i za tem także, że i vice versa wymagania rządu w stosunku do społeczeństwa z tych samych względów muszą być miarkowane. Zupełnie tak samo jak społeczeństwo nie może i nie powinno wymagać od rządu rzeczy, przechodzących jego środki i możność, również i nawzajem **rząd w swych wymaganiach od społeczeństwa liczyć się musi z jego ograniczonemi zdolnościami do świadczeń.**

Zapewne, że w pierwszym rzędzie liczyć się z niemi powinny t. zw. przedstawicielstwa narodowe, sejm i senat. Gdy te jednak nie były dotąd i ani nie są nadal zdolne do tego, jako ujmujące zagadnienia pod każdym innym kątem widzenia, tylko nie gospodarczym i rzeczowym, to przecie słusznem byłoby, **by właśnie rząd spełniał funkcje regulatora**, nie dopuszczającego do odchyleń od linji możliwości realnych.

W zapoznawaniu tego swego zadania, t. j. w zupełnem zamykaniu oczu na te możliwości realne i zatykaniu uszu na wymogi słuszności, najgorliwiej współzawodniczy z Ministerstwem Skarbu **Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej**, czego daje stałe i liczne dowody zarówno w sposobie wykonywania ustaw już obowiązujących, jak zwłaszcza w projektowaniu nowych. W tej swojej działalności Ministerstwo to nigdy jeszcze swoim zamierzeniom nie przeciwstawiło pytania, **czy robotnik społecznie dojrzał, a przemysł materjalnie dorósł do ich przyjęcia i urzeczywistnienia.**

Z tem nie liczono się w Polsce nigdy, i nigdy dla tych względów nie wyrzeczono się żadnego nowatorstwa, gorliwie zabiegając tylko o zdobycie palmy pierwszeństwa i przodownictwa w urządzeniach i przepisach prawnych w dziedzinie pracy i opieki społecznej i o wyprzedzenie na tem polu innych państw, za któremi zarówno przemysł nasz pod względem krzepkości materjalnej, jak i robotnik pod względem kultury pracy i poziomu ogólnego poczucia obowiązkowości, sumienności i odpowiedzialności pozostają daleko — daleko w tyle, w najostatniejszych ogniwach ogona.

Ale nietylko na same możliwości indywidualne przemysłu ma się zamknięte oczy w Ministerstwie Pracy: **również z intencjami rządu samego, zrodzonemi z pewnych potrzeb państwowych, nikt się tam nie liczy,** tak dalece, jak gdyby minister pracy nie był członkiem gabinetu i o intencjach tych nie wiedział.

Świeży tego i nad wszelki wyraz wymowny przykład daje tak często już na tych łamach omawiana sprawa żłobków przy fabrykach.

Wbrew tendencyjnym i demagogicznym inwektywom menerów robotniczych, lub partyjnie zaangażowanych urzędników Ministerstwa, lub wreszcie **jednostek, łączących w sobie obie te funkcje naraz**, przemysł nie przeciwstawia się temu przepisowi ustawy bynajmniej z zasadniczej rzekomo opozycji przeciwko wszelkiej poprawie bytu robotniczego. **To jest nonsens i tak rozumować może tylko zaślepione zacietrzewienie.** Przemysł jednak stąpa nogami po ziemi i potrafi zbyt dobrze myśleć kategorjami realnemi, by nie orjentować się w tem, czy i jak dalece prądy współczesne mieszczą się w granicach możliwości gospodarczych, i nie walczyć o to, by postęp w tej dziedzinie rozwijał się tylko stopniowo i ewolucyjnie, **a zwłaszcza współmiernie z rozwojem ogólnych warunków gospodarczych.** Bo inaczej być nie może i nie powinno. Wyraźnie pisze o tem doradca finansowy Rządu Polskiego w swem sprawozdaniu za II kwartał r. b.:

„Rozwój obu czynników może postępować ręka w rękę, lecz czynnik gospodarczy winien być zawsze silniejszy, gdyż on będzie musiał podpierać ten drugi czynnik".

Zatem współmierność w rozumieniu p. Dewey'a polegać winna na tem, że **zdolność gospodarcza winna wyprzedzać postęp urządzeń społecznych** — i rzeczą oczywistą jest dla każdego umysłu gospodarczo uświadomionego, że zdrowy i ewolucyjny postęp tylko na takiej podstawie oparty być może.

I nie co innego właśnie, jak tylko dobre zrozumienie i wyczucie tej niezłomnej zasady, jest istotą i jedyną przyczyną opozycji przemysłu przeciwko **gospodarczo zgoła niedorzecznemu przepisowi, wymagającemu od samego tylko przemysłu włókienniczego jednorazowego nakładu około 30 miljonów złotych i stałego obciążenia dziennego około 30.000 złotych,** nie mówiąc już o olbrzymich i niepokonalnych wprost trudnościach technicznych i organizacyjnych, jakie za sobą pociąga.

Wymaganie jest tak dalece materjalnie niezniszczalne, że przemysł w samej swej fizycznej niemożności spełnienia go ma dostateczną przeciwko niemu obronę. Ale konieczność przeciwstawienia się obowiązującej ustawie jest dla czynnika praworządności i lojalności, jakim jest przemysł, **ostatecznością**, której oczywiście za wszelką cenę pragnie uniknąć. Przez 3 lata więc osiągał przemysł legitymną zwłokę w wykonaniu przepisu i o taką samą zwłokę rozpoczął zabiegi i w roku bieżącym.

Zdawało się, że zrozumienie całej niewykonalności przepisu zostało osiągnięte: pan minister wypowiada się wobec interpelujących go posłów za koniecznością odroczenia wprowadzenia przepisu w życie i zarządza odbycie konferencji z przemysłowcami gałęzi zainteresowanych dla zaznajomienia się z ich motywami rzeczowemi. Konferencja ta odbywa się w dniu 4 czerwca pod przewodnictwem jednego z wyższych urzędników, który m. in. **oświadcza dosłownie w imieniu ministra, że termin wykonania przepisu może przez przemysł już być uważany za odroczony, gdyż p. minister zdecydowanie stanął na stanowisku tej konieczności i odpowiednią nowelę polecił opracować.** Po niespodziewanem nagłem zamknięciu sesji izb ustawodawczych, które wobec tego nie zdążyły noweli tej uchwalić, znowu jeden z posłów otrzymuje od miarodajnego wysokiego urzędnika ministerjalnego **zapewnienie, że wykonanie przepisu zostanie zawieszone wobec zamierzonego przez Ministerstwo wniesienia do sejmu projektu noweli.**

Aliści verba volant — i wbrew wszystkim tym oświadczeniom i zapewnieniom poszczególni inspektorowie pracy w poszczególnych ośrodkach przemysłowych występują wobec firm przemysłowych z żądaniem wykonania przepisu, t. j. przystąpienia do budowy, urządzenia i uruchomienia żłobków.

To jednak tylko część sprawy—i to, powiedzmy odrazu, najmniej jaskrawa. Inspektorowie pracy, żądając tego, spełniają tylko swój obowiązek, o ile odmiennych wskazówek od swej zwierzchności nie otrzymali.

Jaskrawości sprawa nabiera dopiero przez fakt, że właśnie inspektorowie tych wskazówek nie otrzymali, a bardziej jeszcze przez treść projektu noweli, rewelowaną w prasie przez jednostki, zwykle dobrze poinformowane o tem, co się w Ministerstwie Pracy dzieje.

Otóż:

ponieważ przepis ustawy okazał się w życiu praktycznie, materjalnie i fizycznie niewykonalnym, przeto: najprzód ma być oparty na mocniejszych sankcjach karnych, a powtóre rozszerzony i na te wszystkie jednostki przemysłowe, które dotąd objęte nim nie są i przez to samo zamieniony w nowy współczynnik ogólnego podwyższenia kosztu produkcji przemysłowej,

Można pominąć bardzo znamienne nieliczenie się z przyrzeczeniami i oświadczeniami, które lubo nie uchodzi w zwykłych stosunkach między ludźmi, musi, niestety, uchodzić w nierównym stosunku rządzących do rządzonych; można również wyrzec się oceny dwulicowości, z jaką omawia się nowelę łagodzącą, a przygotowuje obostrzającą. Ale czego nie można żadną miarą — to przejść do porządku nad **logiką poczynań według której rząd deklaruje zrównoważenie bilansu handlowego jako najgłówniejszą swoją troskę, a jedno z ministerstw opracowuje nowelę, mającą wyciągnąć z przemysłu dziesiątki miljonów złotych i obarczyć koszty produkcji nowym ciężarem, czyli osłabić go i wewnętrznie, i pod względem jego zdolności konkurencyjnej!**

Prawda, że działo się to wszystko w czasie nieobecności p. Ministra, że zatem i on sam i jego koledzy w Radzie Ministrów i Komitecie Ekonomicznym jeszcze będą mieli coś do powiedzenia o tym projekcie. Ale już sam fakt, że on wogóle powstał, że mógł się wylęgnąć w głowach urzędników, **świadczy dostatecznie o tem, jak bardzo jeszcze dalekie są czynniki rządowe od gospodarczej oceny zjawisk i zdolności dostosowywania zamierzeń do sił według zasady, zalecanej** przez p. min. Kwiatkowskiego.

Do tego bowiem trzeba umieć myśleć kategorjami gospodarczemi, objektywnemi, nie skażonemi ani partyjnictwem, ani karjerowiczostwem.

Dopóki jednak do Ministerstwa Pracy wszelka demagogja i doktryna partyjna wchodzą przez szeroko otwarte drzwi frantowe, a zdrowa myśl gospodarcza chyłkiem przemykać się musi furtkami bocznemi, dopóty próżną byłaby nadzieja, że do rządzących tam umysłów znajdzie dostęp ostrzeżenie, zawarte w cytowanem już raz ostatniem sprawozdaniu doradcy finansowego Rządu Polskiego.

„Zbyt hojne, a przedwczesne wydatki na cele społeczne, nazbyt obciążają życie gospodarcze, skutkiem czego może ono upaść razem z niemi".

Dr. Marceli Barciński.

Budownictwo mieszkaniowe

Kilka tygodni temu ukazał się pierwszy tom Sprawozdań Komisji Ankietowej, obejmujący problem budownictwa mieszkaniowego (Sprawozdania Komisji Ankietowej. Tom I. — Budownictwo Mieszkaniowe — Warszawa, Nakładem Prezydjum Rady Ministrów). Oprócz czysto sprawozdawczego materjału zawarte są w tym tomie także liczne uwagi na temat przyczyn klęski mieszkaniowej, wzmagającej się z roku na rok w sposób zastraszający.

„....Zastosowanie najbardziej oględnych sposobów obliczania ujawnia istnienie w Warszawie 60.000 rodzin bezdomnych.... Ilość ich wzrasta z roku na rok w tempie coraz to przyśpieszonem.... Wzrastający niedobór mieszkań jest dla Warszawy przerażający...."

W ten sposób charakteryzuje Komisja Ankietowa trapiący nas głód mieszkaniowy. I aczkolwiek komisja ta ustosunkowała się do sprawy mieszkaniowej zupełnie rzeczowo, bez jakichkolwiek tendencyj politycznych, któremi dotychczas niestety kwestję tę zabagniono, to jednak nie wyzwoliła się całkowicie z wulgarnych i błędnych poglądów na nią, nadając im przez to niejako autoryzację.

Poniżej postaramy się wytknąć kilka takich tradycyjnych błędów w ujmowaniu sprawy mieszkaniowej i kilka rażących omyłek w tej pracy.

Omawiając przyczyny zamarcia ruchu budowlanego, komisja tylko mimochodem i wstydliwie przyznaje, że kapitał prywatny *„usunął się od budownictwa dla braku rentowności"*. (str. 39 i 142). Jednak z tego cennego, mimowolnego przyznania się nie wyciąga niestety żadnych wniosków.

W odniesieniu do ustawodawstwa ochronnego, komisja stwierdza, że kapitał prywatny zaniechał lub ograniczył budowę małych mieszkań jeszcze przed wojną, ale na skutek *inspekcji mieszkaniowej*, jaką stopniowo zaczęto wprowadzać w poszczególnych państwach (str. 11). Dla nas, upatrujących główną przyczynę zastoju budowlanego w ustawodawstwie ochronnem, jest to bardzo cenne spostrzeżenie, dowodzące, że *nie brak kapitału lecz jego uzasadniona nieufność wobec inwestycyj budowlanych jest przyczyną kryzysu mieszkaniowego.* Komisja niestety tego zapatrywania nie podziela i wymieniając przyczyny powojennego zastoju budowlanego, *nie wymieniła najważniejszej:* ustawy o ochronie lokatorów. To też teoretyczną analizę przyczyn głodu mieszkaniowego musimy uznać za wysoce niedostateczną. *)

Komisja nie zdaje sobie również sprawy ze związku, jaki zachodzi między wysokością płac, a wysokością komornego, gdyż usprawiedliwia istnienie ustawy o ochronie lokatorów niskim poziomem płac. Zdaniem naszem, komisja — tak samo jak ekonomicznie niewyszkolony ogół — *nie odróżnia przyczyny od skutku.* *) Nie niskie płace są przyczyną niskiego ustawowego komornego, lecz przeciwnie, *niskie komorne jest przyczyną niskich płac.* Bo właśnie wtedy, gdy u nas kształtowały się płace i pensje, t. j. w latach 1919 i 1920, komorne w wydatkach naszych nie odgrywało żadnej roli (inflacja), a ponieważ z powodu wielkiej podaży rąk do pracy, płace miały tendencję do ustalania się na poziomie najniższym, t. j. na poziomie kosztów utrzymania pracownika danej kategorji, do których to kosztów komorne wówczas wcale nie wchodziło, przeto płace są u nas o tyle niższe, ile powinienby w nich wynosić udział czynszu mieszkaniowego. Komisja nie spostrzegła tego związku, poprzestając na pospolitem *odwracaniu stosunku przyczynowego*, co w tym wypadku powszechnie jest praktykowane w ekonomji, stosowanej do potrzeb klasowych, wiecowych i demagogicznych. — Tyle o teoretycznych przesłankach ankiety.

Chcąc jeszcze lepiej uzasadnić niemożliwość podnoszenia czynszu dzierżawnego za lokale, komisja przytacza dane, dostarczone jej przez „Instytut Gospodarstwa Społecznego" w Warszawie, co do dzisiejszych wadatków na komorne w budżecie robotniczym. — Według tych danych robotnik warszawski płaci średnio tytułem komornego 8 procent swego zarobku, a górnik dąbrowski 4 procent. Nie mamy dostatecznego materjału dla sprawdzenia tych liczb, które wydają się nam zbyt wysokiemi, komisja jednak przyjmuje je jako miarodajne i *w tej niepewnej łódce puszcza się na szersze wody*, porównywując te dane z danemi przedwojennemi, poczem krótko i węzłowato stwierdza, że przed wojną płacił robotnik *tylko dwa procent* swych zarobków tytułem komornego (str. 76). Jest to tak rażący błąd, że w pierwszej chwili byłem przekonany, iż chodzi o błąd zecerski. Ale nie. Komisja rozumuje dalej, że jeżeli przed wojną robotnik płacił dwa procent, a dzisiaj ośm względnie cztery, to i tak już płaci dzisiaj stosunkowo więcej niż dawniej, czyli że te dwa procent komisja uważa za realne.

Faktycznie zaś *komorne przed wojną wynosiło 15 do 30 procent zarobku robotniczego*, co stwierdzone jest w tysiącu budżetów robotniczych i o czem, kto jak kto, ale Komisja Ankietowa powinna wiedzieć. Taka rozbrajająca nieświadomość jest poprostu kompromitująca.

Komisja nie zastanawia się *nad łącznością problemu bezrobocia z zastojem w budownictwie*, chociaż sprawa ta jest wyraźnie sformułowana w broszurce Piotra Drzewieckiego, na którą w innem miejscu komisja się powołuje. Odnosi się wrażenie, że komisja zupełnie *nie docenia albo nie rozumie tego problemu*, bo — omawiając ilość robotników, pracujących w budownictwie — określa ją na 4 do 8 procent ogółu robotników przemysłowych. Widocznie ma na oku tylko robotników, bezpośrednio zajętych przy wznoszeniu budowli, a nie uwzględnia robotników i rzemieślników, pracujących pośrednio dla przemysłu budowlanego. Być też może, że komisja *świadomie nie podjęła się tej analizy.* A szkoda. Bo wtedy całe nasze bezrobocie ujawniłoby się jako skutek zatamowania ruchu budowlanego.

Prof. Kemmerer, którego poglądów na sprawę mieszkaniową, zawartych w jego

„Sprawozdaniu", komisja niestety nigdzie nie przytacza, uważa, że przed wojną 50 procent ogółu robotników przemysłowych pracowało u nas pośrednio lub bezpośrednio dla budownictwa. Otóż tych 50 procent robotników pozostaje dzisiaj prawie bez zajęcia i oni to stanowią naszą armję zarejestrowanych i niezarejestrowanych (po wsiach) bezrobotnych.

Komisja, stwierdzając, że tylko jakieś 6 procent ogółu robotników przemysłowych zatrudnionych jest w przemyśle budowlanym, czyni tak — jakby chciała *zbagatelizować w opinji czytelnika doniosłość problemu ożywienia ruchu bodowlanego.*

Bardzo trafne natomiast są uwagi, które robi Komisja, krytykując dzisiejsze metody budownictwa gminnego i spółdzielczego. — Stwierdza, że:

„...budowano bardzo wiele mieszkań, składających się z 4 do 8-miu izb, co w naszych warunkach głodu mieszkaniowego należy uważać za marnotrawstwo", (Str. 56 i 57).

„...Że budowle spółdzielcze są o wiele kosztowniej administrowane niż budowle przedwojennych domów czynszowych... Że działalność budowlana, powstała z pomocą pieniędzy publicznych, przyczyniła się znacznie do podrożenia kosztów budowy... Że interwencja władz dała rezultaty inne, poniekąd przeciwne, przyczyniając się w pewnej mierze do rozwinięcia na koszt publiczny zbytku mieszkaniowego i spotęgowania drożyzny budownictwa..." (Str. 53).

Niestety i tutaj komisja nie ujawnia głównej przyczyny tych wad. Wady te będą bowiem istniały tak długo, jak długo finansowanie ruchu budowlanego będzie dokonywane etatystycznie *).

Zdrowe są również zasady polityki mieszkaniowej, jakie proponuje komisja.

A więc:

„...Pobór podatków nie może powodować uszczuplenia mienia jednych dla tworzenia lub powiększania majątku innych.... (Str. 40). Niezbędne podniesienie kultury mieszkaniowej może się odbywać powoli i stopniowo..."

W dziedzinie polityki kredytowej:

„...Kredyt powinien być udzielany tylko budującym masowo i stosującym się do ustalonych na dany okres budowlany typów i norm..."

Nie poruszono natomiast wcale sprawy industrjalizacji przemysłu budowlanego oraz budownictwa drewnianego.

Jerzy Schimmel.

*) *Sprawy te szczegółowo omówiłem w mojej broszurze p. t. „Głód mieszkaniowy".*

WALUTY EUROPEJSKIE

Grecja i Francja obecnie ustabilizowały swe waluty nietylko drogą faktów, ale ustawowo. Plany sanacyjne dla *rumuńskiej i jugosłowiańskiej* waluty są ustalone i będą prawdopodobnie wykonane w jesieni. *Hiszpanja* postanowiła rewaloryzację pezety, która obecnie notowana jest o 13 proc poniżej parytetu i rewaloryzacja będzie przy poparciu londyńskiej i nowojorskiej grupy bankowej z uwzględnieniem gospodarczych stosunków w kraju stopniowo przeprowadzona. Pozostają więc jeszcze trzy kraje w Europie, których waluty potrzebują regulacji: *Portugalja, Bułgarja i Turcja.* Również w tych krajach są w przygotowaniu reformy walutowe i czas jest niedaleki, w którym w Europie będą znowu panowały uporządkowane stosunki walutowe i w którym wszystkie waluty będą pozostawały w pewnym stosunku albo do złota, albo do innej waluty. Jaki będzie tedy stan walutowy Europy po przeprowadzeniu tych akcyj? Będzie korzystniejszy, czy niekorzystniejszy niż przed wojną, bliższy czy dalszy od ideału jednolitej waluty?

Przedewszystkiem *będzie więcej systemów walutowych niż dawniej.* Mapa europejskich walut będzie o wiele barwniejsza niż przed wojną.

Przed wojną istniało w Europie ogółem 9 systemów walutowych. Waluta szterlingowa w Anglji, waluta złotego franka, która obowiązywała pod różnemi nazwami (frank, dinar, lewa, lei, lira, pezeta), w dziewięciu państwach (Francja, Belgja, Szwajcarja, Włochy Serbja, Bułgarja, Rumunja, Hiszpanja, Grecja), waluta guldenowa w Holandji, skandynawska waluta koronowa, waluta markowa w Niemczech, waluta koronowa w Austro-Węgrzech, waluta rublowa w Rosji, waluta tureckiego funta i waluta eskuda, czyli milrejsów w Portugalji.

Z tego pozostały: *funt angielski, gulden holenderski, korona skandynawska, frank złoty* w Szwajcarji i (po dokonanej rewaloryzacji) także w Hiszpanji; *marka i rubel* zostały po zupełnem zniszczeniu na dawnej podstawie nanowo stworzone, (nowa rosyjska jednostka monetarna, czerwoniec, przedstawia dziesięciokrotną wartość rubla złotego). *Turcja i Portugalja,* w jakikolwiek sposób ustabilizują swoją walutę, będą tak jak przed wojną reprezentowały dwa specjalne systemy walutowe. Zupełnie znikła tylko austrjacko-węgierska korona.

Nanowo doszły: 1) *trzy waluty na obszarze byłej austrjackoo - węgierskiej monarchji* (szyling, pönge, i korona czechosłowacka), 2) *siedem zupełnie odmiennych nowych walut* w 7 państwach b. systemu walutowego franka złotego (Francja, Włochy, Belgja i 4 państwa bałkańskie), 3) *polski złoty,* 4) *gulden gdański* i 5) *cztery nowe waluty w państwach bałtyckich (litas* na Litwie = 1/10 dolara, *lat* na Łotwie = 1 fr. zł., *złota korona* w Estonji = 100 markom estońskim = 1 szwedzkiej koronie, *1 marka finlandzka* = 22,19 groszy w finlandji).

Ponieważ łotewska waluta łączy się z systemem franka złotego, a estońska ze skandynawską koroną, wobec tego w państwach bałtyckich powstały w rzeczywistości tylko dwie, a nie cztery nowe waluty. Sumując te pozycje, dochodzimy do wniosku, że na miejsce jednego systemu walutowego który znikł po wojnie powstało *14 nowych systemów.*

Istnieje więc w Europie o 13 systemów walutowych więcej, niż przed wojną. Jest to nietylko skutkiem politycznego rozbicia Europy po zawarciu pokoju (nowych państw w Europie powstało 8, względnie z Gdańskiem 9, podczas gdy ilość systemów walutowych powiększyła się o 13), ile w pierwszym rzędzie następstwem zniszczenia szeregu europejskich walut przez inflację i to w tym stopniu, że wszelka rewaloryzacja była beznadziejna. Międzynarodowi rzeczoznawcy, którzy pomagali przy sanacji tych walut, zajmowali stanowisko, że najważniejszą i najpilniejszą rzeczą jest stabilizacja walut, t. zn. utrzymanie i ustawowe ustalenie prypadkowego kursu, który dane jednostki walutowe osiągnęły w czasie sanacji. Ponieważ kursy te były nader różne, wynikły też zupełnie przypadkowe i różnorodne jednostki walutowe.

Ta metoda sanacji miała jednak także jeszcze inny rezultat: kursy stabilizacyjne były przeważnie bardzo niskie i z powodu tego nowe jednostki walutowe, (zwłaszcza jeżeli nie zostały tak, jak w Austrji, na Węgrzech, lub też w Bawarji stworzone przez złożenie pewnej ilości dawniejszych jednostek), są o wiele mniejsze niż dawne jednostki walutowe; niektóre jednostki są nawet tak małe, że wartość ich nie przekracza kilku groszy. Fakt ten najdobitniej można zaobserwować przez porównanie walut obecnych z frankiem złotym (kurs w Zurychu), który dawniej był najmniejszą jednostką walut w Europie.

Wartość nowych jednostek walutowych w centymach złotych (okrągło) wynosi: pönge 190, belg 156, szyling 125, marka niemiecka 210, lira 56, frank francuski 42, korona czeska 32, marka finlandzka 27, dynar 19, drachma 14, lej 6,7.

Czy będzie możliwem na stałe utrzymać tak małe jednostki walutowe, zwłaszcza tak, jak one istnieją w państwach bałkańskich? Prawdopodobnie konieczne będą późniejsze reformy walutowe i łączenie dzisiejszych jednostek w nowe, większe jednostki, jak to zaraz z początku zrobiła Belgja.

Ale ważniejszem będzie mapę walutową Europy z czasem uprościć i jednostki walutowe Europy sprowadzić do przedwojennego stanu liczebnego, a nawet poniżej tego stanu. „Kooperacja banków emisyjnych", która jest zdobyczą czasu powojennego, nie stanowi wystarczającego odszkodowania za utrudnienia, których doznaje obrót przez mnogość i różność walut, zwłaszcza, że w tej bardzo luźnej kooperacji biorą udział banki emisyjne największych krajów. We Francji już obecnie mówią o przywróceniu łacińskiej unji monetarnej państw bałkańskich.

W jaki sposób jednak unja ma być przeprowadzona, dopóki pierwszego warunku, t. j. równości systemów walutowych brakuje, trudno dociec. Gdy naprz., jak to zdaje się jest planowane, spowodowano rumuński lub też jugosłowiański bank emisyjny do zdeponowania części swoich rezerw walutowych w wekslach na bank francuski, a nie na bank angielski, to stworzyłoby to może pewną preponderancję banku francuskiego na Bałkanach, ale nie miałoby nic wspólnego z unją monetarną. Dla takiej należałoby dopiero podjąć prace przygotowawcze. Powrót do franka złotego nie będzie jednak nawet dla Francji całkiem łatwy, gdyż państwo to zdecydowało się ustalić swoją jednostkę walutową nie w prostym arytmetycznym stosunku do franka złotego (jak tego pierwotnie oczekiwano). Powrót ten będzie jeszcze trudniejszy w państwach bałkańskich, których kursy stabilizacyjne pozostają w zupełnie nieracjonalnych stosunkach do franka złotego. Mimo to uproszczenie europejskiego systemu walutowego pozostaje najbliższem zadaniem europejskiej polityki walutowej, które w ten lub ów sposób musi być rozwiązane.

M. S.

Pożyczki wewnętrzne

Dolarówka 90 zł. za 5 dolarów — pożyczka inwestycyjna 125 złotych za 100. Sto miljonów dolarów, które przepadły w 1918 roku

Prof. Adam Krzyżanowski pisze w krakowskim „Czasie" o sytuacji na naszym wewnętrznym rynku kredytowym:

Dziesięć lat temu, z końcem roku 1918 ilość kapitałów pieniężnych w Polsce była stosunkowo znaczna, procent był niski, zaufanie do państwa wielkie, gotowość pożyczania państwu duża. W tym czasie pierwszy, nowoutworzony rząd polski rozpoczął sprzedaż 5-proc. asygnat, uzyskując z tego źródła przeszło sto miljonów dolarów, a więc kwotę przekraczającą łączną sumę pożyczki Dillona z r. 1925 i stabilizacyjnej z r. 1927. Nastąpiła inflacja. Posiadacze asygnat zostali spłaceni bezwartościowemi markami. Inflacja zniszczyła kapitał obrotowy społeczeństwa i zaufanie do państwa. Pożyczki wewnętrzne, dobrowolne i przymusowe zawiodły. Okazało się, że kredyt państwa na targu wewnętrznym jest niemal równy zeru. Przeżywamy obecnie okres, w ciągu którego ponownie zarysowały się możności uzyskiwania przez państwo funduszów w formie pożyczki wewnętrznej.

W połowie czerwca Ministerstwo Skarbu za pośrednictwem Syndykatu bankierów, utworzonego pod egidą Pocztowej Kasy Oszczędności rozpisało subskrypcję na czteroprocentową, premjową pożyczkę inwestycyjną, opiewającą na łączną kwotę 50 miljonów złotych, czyli około pięciu i pół miljona dolarów. Zamknięcie subskrypcji nastąpiło 15-go lipca. Subskrybenci mieli płacić 40 proc. subskryowanej kwoty zgóry, to znaczy w chwili podpisywania zgłoszeń. **Do 15 lipca społeczeństwo subskrybowało około 75 miljonów złotych, a zatem wpłaciło gotówkę około 60 proc., pięćdziesięciu miljonów złotych wyłożonych do subskrypcji.** Trzydzieści miljonów wpłacono zgóry do kas skarbu. Kurs pożyczki inwestycyjnej wynosi obecnie około 125 za sto.

Wielu przewidywało, że dolarówka spadnie w cenie po emisji premjowej pożyczki inwestycyjnej. Jedna dolarówka opiewa na 5 dolarów. Obecnie kupuje i sprzedaje się ją za gotówkę po kursie, wynoszącym około 90 złotych za sztukę, a 140 zł. w razie sprzedaży na raty. — Dolarówka będzie wykupiona 1-go lutego 1930 r. po kursie nominalnym, a więc po niespełna 45 złotych. Sądzono, że ludzie, obawiając się wykupu po tym kursie wyzbędą się dolarówek i kupią pożyczkę premjową, boć przecie oba papiery są loteryjne. W rzeczywistości pożyczka premjowa poszła w górę, a dolarówka nie spadła.

Znaczne powodzenie pożyczki inwestycyjnej jest znamienne i pouczające. Kwota uzyskana tym sposobem przez państwo, została wypożyczona Bankowi Gospodarstwa Krajowego z tem, że ma być zużyta na udzielenie kredytów budowlanych przez Bank. Powodzenie pożyczki powinno stać się wskazówką miarodajną przy sposobności rozważania pytania, jak uzyskać dalsze fundusze na finansowanie ruchu budowlanego. Atoli z drugiej strony emisja i powodzenie pożyczki inwestycyjnej rzucają jaskrawe światło na ograniczoność naszych finasowych środków działania.

Poprawa w porównaniu z rokiem 1925 jest widoczna, ale przecie rozmiary jej są mało zadowalniające. Stan rzeczy przed laty dziesięciu, a więc tuż po zakończeniu wielkiej wojny, które coprawda dla nas nie było zakończeniem wojny, był lepszy. **Ówczesna pierwsza polska pożyczka wewnętrzna dostarczyła skarbowi kwotę w porównaniu z wynikami obecnej pożyczki inwestycyjnej dwudziestokrotnie większą, a co najważniejsze państwo wówczas nie było zmuszone do przyznawania wierzycielom premij loteryjnych.**

Inflacja przyzwyczaiła społeczeństwo do spekulowania. Nawyki inflacyjne, inflacyjny tok działania ekonomicznego jeszcze nie wymarły. Nasz targ pieniężny świadczy o tem, że poniekąd ciągle jeszcze nie wyrośliśmy z epoki inflacji. Objawia się to przedewszystkiem szczupłością środków pieniężno-kredytowych, pochodzącą z epoki inflacyjnej, krępującą działalność inwestycyjną, której dotąd nie udało się usunąć.

W państwach zamożnych t. zw. targowa stopa procentowa jest niższa od stopy procentowej banku emisyjnego, albo przewyższa ją nieznacznie. U nas stan rzeczy jest odwrotny, aczkolwiek stopa procentowa naszego banku emisyjnego jest wysoka. Urzędowy Instytut badania konjunktur gospodarczych uważa stopę procentową, pobieraną przez prywatnych dyskonterów w Łodzi od weksli pierwszorzędnych za właściwie jedyny w Polsce wskaźnik, odzwierciedlający tendencję kształtowania się stopy procentowej. Otóż ta stopa procentowa miarodajna, raz jeszcze powtarzam, dla weksli pierwszorzędnych wynosiła w marcu 19½, a w maju 16¾ w stosunku rocznym. Zdaje się, że od tego czasu wzrosła. Jest ona znacznie wyższa od przecie wysokich odsetek, które zobowiązaliśmy się płacić, zaciągając w listopadzie zeszłego roku pożyczkę stabilizacyjną.

Nie ulega wątpliwości, **że kapitału w Polsce czyli oszczędności jest dotkliwy brak,** skutkiem czego procent musi być wysoki, a wypożyczanie kapitałów krótkoterminowe i spekulacyjne. Przed wojną kupowano i sprzedawano na ziemiach polskich papiery państwowe oprocentowane, powiedzmy na 5 od sta, po kursach nie wiele poniżej pari, aczkolwiek spłata tych pożyczek była rozłożona niejednokrotnie na kilkadziesiąt lat. Po wojnie zaufanie finansowe do państwa zmalało pod naciskiem smutnych doświadczeń inflacyjnych. Obecnie poczyna wzrastać, ale ciągle jeszcze jest wielce ograniczone. Nikt nie chce wiązać się zbyt długim terminem. Rząd, który w Stanach Zjednoczonych zaciągnął pożyczkę dwudziestoletnią, zaoferował miejscowym kapitalistom pożyczkę inwestycyjną dziesięcioletnią, bo papier opiewający na dłuższy czasokres nie znalazłby zbytu. Dla zyskania zaufania trzeba było przyrzec oprocentowanie i zwrot w złotych w złocie, ponieważ zaufanie do naszej waluty jeszcze nie jest całkiem ustalone w Polsce.

O powodzeniu pożyczki rozstrzygnął **jej charakter loteryjny.** Z naszego targu pieniężnego można wydobyć niewiele i to tylko pod tym warunkiem, że dla przyciągnięcia kapitałów do kas skarbowych państwo użyje magnesu wygranych loteryjnych.

Cóż stąd wynika? Warunki emisji premjowej pożyczki inwestycyjnej są zrozumiałe tylko, **jako objaw wysoce nienormalnych stosunków na naszym targu pieniężnym.** Ich uzdrowienie stać się powinno naczelnym postulatem naszej polityki ekonomicznej, boć przecie o trwałej i szybkiej poprawie stosunków, wymagającej znacznych inwestycyj, mowy być nie może, póki stopa procentowa nie spadnie. Należy kierować sprawami politycznemi państwa w sposób wzmacniający zaufanie do pokojowego rozwoju naszych stosunków wewnętrznych i zagranicznych, należy **unikać przeciążenia podatkowego celem wzmożenia kapitalizacji wewnętrznej** i ułatwiać przypływ kapitału z zewnątrz w rozumnych granicach. Polityka, która stanowczo i wytrwale tą drogą pójdzie, ale tylko taka, a nie inna, doprowadzi z pewnością do zniżki stopy procentowej, do rozwoju działalności inwestycyjnej i do poprawy stosunków gospodarczych. Polityka odmienna doprowadzi do wyników wprost przeciwnych.

Adam Krzyżanowski.

CYFRA BEZROBOTNYCH SPADŁA PONIŻEJ 100 TYSIĘCY?

W lipcu utrzymująca się stale poprawa na rynku pracy uwydatniła się w dalszym dość poważnym wzroście zatrudnionych oraz znacznem zmniejszenu się liczby bezrobotnych.

Liczba bezrobotnych, zarejestrowanych w P. U. P. P., obniżyła się ze 116,247 w początku lipca do 97,976 w początku sierpnia, czyli o 15,7 proc.; pozostaje ona nadal na poziomie znacznie niższym niż w odpowiednich miesiącach 2 lat poprzednich, jak to uwidocznia poniższe zestawienie (w początkach miesięcy):

	1926	1927	1928
Styczeń	251.326	190.140	165.268
Luty	301.457	208.536	179.602
Marzec	302.179	213.592	178.403
Kwiecień	295.529	205.770	167.022
Maj	272.414	190.578	154.656
Czerwiec	256.934	174.349	132.453
Lipiec	243.302	159.365	116.247
Sierpień	223.474	147.713	97.976

Spadek bezrobocia do poziomu najniższego w ostatniem trzechleciu nastąpił głównie w związku z ożywieniem sezonowem w szeregu gałęzi przemysłu oraz z rozpoczęciem większych robót rolnych. Ożywił się nieco ruch budowlano - inwestycyjny oraz wzrosło uruchomienie przemysłów, pracujących na sezon jesienno - zimowy, kiedy to wystąpi popyt na towary ze strony rolnictwa, którego sytuacja w związku ze znaczną poprawą stanu zasiewów polepszyła się.

UWAGI

Dożynki w Spale

Na innem miejscu poświęcamy szereg uwag tegorocznej uroczystości dożynek w letniej rezydencji Prezydenta Rzeczypospolitej, w Spale. Tutaj zamieszczamy w dosłownem brzmieniu przemówienie, jakie wygłosił starosta dożynkowy, p. Cierniak do p. Prezydenta Rzeczypospolitej w chwili, gdy liczne delegacje zaczęły składać p. Prezydentowi wieńce ze zboża i dań z owoców całorocznej pracy, oraz przemówienie p. Prezydenta Rzeczypospolitej, wygłoszone w czasie obiadu, którym p. Prezydent podejmował przywódców delegacyj włościańskich, przybyłych do Spały na uroczystość dożynek.

PRZEMÓWIENIE STAROSTY DOŻYNKOWEGO.

Najdostojniejszy nasz Gazdo i Wy Nadobno i Kochano Gaździno, hej! Uwijaliśmy się tyz latoś z robotom, uwijali, no ale zebrało się szyćko, piękne het z pola, a nagrodził nam Pan Bóg setnie, a nie byle jakiego. Przyśli my tu do Was, jak widzicie, hurmem, odświetnie z kmiecią godnością, a przyśliśmy razem w zgodzie w serdecznym zespole gromadzkiem! i tak jechali z nad morza zacięte Kaszuby, a od Piastowego Gniezna gospodarze wielkopolskie, przybyły pobożne ślązaki i wesołe krakowiaki, het z wysokich Tater górale, są i insi małopolanie od Kielc, Tarnowa, Sącza, Gorlic i t. d., są i skrzętni sandomierzacy i lublinianie, jechali skądciś z leśnych puszcz bitne chłopy kurpiowskie, a za nimi smutne podlasiany, wreszcie haw z podla strojne łowiczanie, sieradzanie, a i od Rawy insi.

Staroświeckim ano zwyczajem przynosimy Wam, Najdostojniejszy Gospodarzu całej Polski ten plon, jako plon nas wszystkich, byście sprawiedliwie z gospodarską zabiegliwością dzielili go tak, coby przecie każdemu człowiekowi na codzień dostała się niezgorsza kromka, a i pytlowy kołacz na większe święto.

Są w tym wieńcu, jako widzicie, wszyćkie polskie zboża po ociupince.

Widzicie tu między kłoseckami i drobne serduszka, to już dla Was Nadobna i Kochana Gaździno, żebyście wiedzieli, że Was kochają wszyćkie polskie serca, boście strasznie dobrzy i dla ludzkiego biedowania niezmiernie miłosierni. A przy wieńcu życzymy Wam Najdostojniejszy Gazdo, by z tych plonów pod Waszą rządną ręką plenił w całem gospodarstwie wszelką dobroć gromadzką. Scęść Wam Boże!

PRZEMÓWIENIE P. PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ.

„Dziękuję z całego serca drogim mym gościom za prybycie zbliska i zdaleka ze wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej i nawet z jej krańców. Nie szczędziliście dużych trudów, nie zrażały Was żadne niewygody, niosło Was tu potężne uczucie dla wielkiej i pięknej naszej Ojczyzny, naszej ukochanej Rzeczypospolitej. Uczucie to wyraziliście w najpiękniejszej formie starodawnego zwyczaju. Po znojach przynieśliście „plon w gospodarza dom", gospodarza całej Polski.

Uroczystość dzisiejsza jest piękna i wielka, bo jest uroczystością całego ludu rolniczego w Polsce, który swą pracą żywi wszystkich jej obywateli. Z tej racji Wasz zawód jest jednym z najmilszych i najwdzięczniejszych dla Państwa. Usilna praca Wasza, wydostając i pomnażając pożywienie, stanowi najważniejszą podstawę naszego dobrobytu i rozwoju gospodarstwa. Obecny rząd Rzeczypospolitej, rząd, którego naczelną postacią jest Marszałek Piłsudski, ma pełne zrozumienie dla Waszej roli w Państwie, to też nie szczędzi wysiłków, żeby z roku na rok, krok za krokiem, coraz więcej ułatwić Waszą pracę i przyczynić się w coraz znamienitszej mierze do zwiększenia wydajności jej. Stara się np. o zorganizowanie kredytu na wszelkie ulepszenia gleby i inne inwestycje. Pamięta o kasach pożyczkowych, które powinny się znajdować w najdalszych zakątkach kraju, tworzy wielkie wytwórnie nawozów sztucznych i czyni wysiłki, celem ich rozpowszechnienia, coraz więcej pracuje nad realizacją naprawy naszego ustroju rolnego, nad przystosowaniem go do nowoczesnych wymagań społecznych i gospodarczych, krząta się dalej około sprawy budowy dróg, oraz przyczynia się do rozbudowy organizacyj samorządowych, które w sposób łatwiejszy będą mogły udzielić pomocy Waszej pracy wytwórczej.

Pomoc ta w chwili obecnej jest jeszcze bardzo niedostateczna, ale trochę jeszcze cierpliwości, a będzie ona bardzo znaczna i wydajna.

Ziemie nasze po długoletniej niewoli, zaczynają się dopiero w wydatny sposób organizować. Potrzeba do tego — oprócz dużych wysiłków pracy i trochę czasu, żeby mogło się ugruntować państwo dobrze i pięknie zorganizowane, w któremby panowała najwyższa praworządność, w któremby były uwzględnione interesy wszystkich bez różnicy obywateli, a przedewszystkiem te interesy, które w pełni harmonizują z rozwojem bogactwa i potęgi Rzeczypospolitej. Oprócz bezpośredniej działalności rządu coraz szybciej rozwijać się będzie działalność rozbudowywanych samorządów, które zaczną coraz wydatniej pomagać Wam w pracy. Poza tą działalnością rządu i samorządu, zjawiają się wśród Was liczne i coraz liczniejsze jednostki, z własnej inicjatywy pomagając Wam pracą. Gna ich do Was wielkie ukochanie kraju i ludzi, zakładają oni organizacje rolnicze, szkoły zawodowe, uczą umiejętnie uprawiać i nawozić glebę, prowadzić racjonalną i coraz ulepszającą się hodowlę zwierząt, współdziałają w zakładaniu spółdzielni różnych typów, Kas pożyczkowo-oszczędnościowych i t p. Niosą Wam w przeróżnej formie swe ukochanie dla wszelkiego piękna, które promieniuje w najdalsze zakątki i cementuje Państwo. Są to prawdziwi pionierzy wszelkiej działalności, którzy pomagają w Waszej pracy i przyczyniają się w dużej miarze do zwiększenia jej wydajności. W przyszłości ludzie ci będą zapewne wchłonięci w organizacje samorządów, województw, powiatów i gmin. Wprowadzą oni duszę do każdej organizacji samorządowej, tę duszę, bez której same organizacje techniczne nie miałyby powodzenia Tymczasem jednak muszą być oni jeszcze dalej tymi pionierami najpiękniejszego rozwoju kraju; to też rząd powinien i będzie popierał nie tylko rozwój samorządowy, ale i prace tych ludzi i stworzonych przez nich organizacyj. Jakie one mają znaczenie dowodzi nawet ten oto przykład, na który patrzymy w tej chwili. Przecież zorganizowanie tej przepięknej uroczystości zawdzięczamy jedynie organizacjom rolniczym, utworzonym z inicjatywy prywatnej. W obecnej naszej fazie rozwojowej, same nasze organizacje samorządowe nie byłyby w stanie tego dokazać.

Cześć tym ludziom, którzy nadzwyczaj serdecznie ukochali kraj i naród.

Przychodzą do Was i inni ludzie, także z własnej inicjatywy, ludzie nierealni, fantaści, którzy lekceważą pracę twórczą stopniową i żmudną. Zdaje się im, że odrazu można zaprowadzić raj na ziemi i dobijają się tylko tej władzy, którąby im pozwoliła to uczynić. Nie uświadamiają oni sobie, że prowadząc przez całe życie jedynie pracę polityczną, dążącą do opanowania władzy, są tylko fantastycznymi nierealnymi działaczami, nie umiejącymi nic produkcyjnie wytworzyć i zorganizować, nie zdają sobie z tego sprawy, że z chwilą uzyskania przez nich tej władzy, kraj byłby narażony na szaleńcze eksperymenty reform, ludzi, nie mających najmniejszego pojęcia o praktycznym rozwoju życia. Do każdej pracy bowiem trzeba się przysposobić, trzeba się praktycznie kształcić i zaprawić, żeby ta praca mogła dać jakieś owoce. Chcąc zwiększyć szeregi swych wyznawców, ludzie ci szerzą tymczasem wszędzie rozdźwięki i rozgoryczenie, oczerniając działalność najbardziej nawet twórczą wszystkich tych, którzy nie znajdują się w ich szeregach. Ci działacze nietylko nic realnego nie budują, ale przeciwnie przeszkadzają prawdziwie państwowej pracy innych, szerząc zamęt i rozgoryczenie.

Przychodzą do Was jeszcze i inni ludzie. Nie nazwę ich już nierealnymi fantastami, ale ludźmi złej woli, którzy mają jedynie na oku swe osobiste chwilowe interesy, zupełnie sprzeczne z interesami całego organizmu państwowego. Nie będę jednak dalej mówił o tym temacie, bo ani miejsce, ani obecna chwila uroczysta na to nie jest stosowna. Już drugi raz w siedzibie Prezydenta Rzeczypospolitej święcimy uroczystość dożynek z całej Polski. Tak, jak to już mówiłem zeszłego roku, pragnąłbym, aby ta uroczystość która jest tak piękna i tak nas wszystkich wiąże w ukochaniu naszej ziemi ojczystej, odbywała się po wsze czasy. Zdaję sobie sprawę, że Prezydent Rzeczypospolitej nie przyjmuje Was dzisiaj jeszcze tak, jakby sam sobie tego życzył, ale mam nadzieję, że z każdym rokiem to przyjęcie będzie coraz ładniejsze. Potrzeba i na to trochę czasu, żeby odpowiedzieć potrzebom chwili. Proszę więc Was, drodzy goście, o uwzględnienie braków, a może niewygód, by naprawdę najszczersze gorące życzenia towarzyszyły pracom przygotowawczym. Na zakończenie w tej uroczystej chwili naszego zbliżenia wzywam Was, byście wraz ze mną wznieśli okrzyk: „Niech żyje nasz lud rolniczy, niech żyje Rzeczpospolita i jej wielki Wskrzesiciel i Budowniczy Marszałek Piłsudski".

KWIATKI

NA POCZCIE.

Charakterystyczny przykład traktowania publiczności na naszych pocztach przynosi łódzki „Express wieczorny":

Do redakcji naszej zgłosił się jeden z czytelników i opowiedział następującą historję:

— Przed kilku dniami poszedłem na pocztę celem wysłania pieniędzy żonie mojej, bawiącej w miejscowości kuracyjnej. Mając na względzie pośpiech, zażądałem przekazu telegraficznego, który kosztuje pięć razy więcej niż zwykły. Równocześnie zapytałem urzędniczki, kiedy nadejdą pieniądze do miejsca przeznaczenia. Odpowiedź brzmiała:

— Nie wiem, bo przecież ja tych pieniędzy nie będę nosiła...

— Wiem, że pani ich nie zaniesie, ale przecież powinna pani wiedzieć, jak długo idzie przekaz...

A na to moja grzeczna urzędniczka:

— A czy ja wiem, kiedy pana szlag trafi?...

Mieszkałem przez wiele lat w Ameryce i z trudnością mówię po polsku. Byłbym niezwłocznie zwrócił się z zażaleniem do dyrekcji na urzędniczkę i jej kolegów, którzy śmieli się z „dobrego żartu", ale niestety, słabe władanie językiem onieśmiela człowieka. Nie chcę jednak, aby cała rzecz minęła bez echa.

Ciekawem byłoby dowiedzieć się, czy „urzędnicka" ta została odszukana i czy jeszcze „urzęduje".

Wstrzemięźliwość szkocka

Najtęższe głowy mają Szkoci. Taki Szkot potrafi pić nietylko od wieczora do rana, ale i od rana do wieczora i utrzyma się na nogach, potrafi nawet odstawić do domu po kolei wszystkich towarzyszy pijatyki. W pijaństwie Szkot zaprawia się od młodości — chociaż nie należy wierzyć, że w Szkocji nawet niemowlętom podaje się kilka razy dziennie butelkę z wódką szkocką.

Rzecz poprostu nie do wiary, że był taki czas, gdy nawet w tej Szkocji powstał ruch antyalkoholowy. Było to dość dawno temu, bo około roku 1864-go, gdy ruch antyalkoholowy był w modzie na całym świecie i nie trwało to długo. Ale i ten ruch był nieco pijany. Powstały wprawdzie liczne towarzystwa wstrzemięźliwości, urządzano zebrania i odczyty, kończyło się jednak zwykle na kieliszku i to nierzadko na wniosek przewodniczącego zebrania.

W jednem z ówczesnych pism szkockich opisana jest ślicznie mowa takiego szkockiego apostoła wstrzemięźliwości na zebraniu kółka „abstynentów“. Przytaczamy ją tutaj w dosłownem brzmieniu.

„Old boys“ — zaczął mówca — „wasze pijaństwo staje się już niemożliwem. Uczcie się wstrzemięźliwości i umiarkowania we wszystkich rzeczach i odzwyczajajcie się od napojów alkoholowych! Jak wstajesz z łóżka, nikt ci nie broni wypić kieliszek dobrej wódki, wolno ci wypić nawet drugi przed śniadaniem i ostatecznie jeszcze jeden po śniadaniu — ale nie należy chlać od samego rana. Gdy rano wychodzisz do pracy, wypij sobie spokojnie kieliszek. To zawsze dobrze robi, zwłaszcza gdy na dworze jest mgła, możesz także wypić jeszcze jeden przed obiadem, aby wzmocnić żołądek i zaostrzyć apetyt, ale nie trzeba od razu przez cały Boży dzień trzymać flaszkę w łapach! Żaden rozsądny człowiek nie będzie miał nic przeciw temu, jeżeli wypijesz znowu jeden kieliszek po obiedzie i ewentulanie jeszcze jeden, gdy sprzątają nakrycia ze stołu, a także za zbrodnię nikt wam tego nie poczyta, gdy po południu wychylicie jeden lub dwa, aby utrzymać się rzeźko, bo to nie będzie żadne nadużywanie alkoholu, tylko rozsądna troska o zdrowie, ale nie wolno z brzucha robić baryły wódczanej! Nie zawadzi napić się kieliszek wódki po ukończonej pracy i dobrze jest pokrzepić się po kolacji i przed spaniem szklaneczką herbaty z dobrym rumem — wiadomo także, że nie tak szybko odzwyczaja się człowiek od starych przyzwyczajeń, więc nikt nie zgorszy się gdy do poduszki wypijecie jeszcze jeden kieliszek, aby mieć dobry sen i aby was zmory nie dręczyły. A jeżeli ktoś cierpi na bezsenność i budzi się w nocy, także słusznie uczyni, jeśli odpędzi ją jednym lub nawet dwoma kieliszkami — ale to już wszystko, na tem trzeba poprzestać, bo co ponadto to już niezdrowo i grzech“.

Ruch antyalkoholowy szybko się skończył w Szkocji. Na takie ograniczenia i tak surowe normy nikt się tam nie mógł zgodzić.

Kl.

HUMOR

Z ostatniego numeru „Cyrulika Warszawskiego przytaczamy kilka dowcipnych anegdotek.

* * *

Pewien ksiądz uratował podczas najazdu bolszewickiego życie rabinowi z miasteczka. Po wojnie, przychodzi rabin do księdza i zaczyna mu składać w dowód wdzięczności, najlepsze życzenia:

— Uj, panie ksiądz! Co ja mam panu życzyć?

— No, cóż? Chyba, żebym został biskupem.

— Co jest biskup? Ja też mogę być biskup! Głowę od cukru na łeb, długie laske w rękę i już biskup!

— No, to żebym został kardynałem.

— Phi, kardynał też niewiele co! Włoży purpurę i już! Ja panu księdzu lepiej życzę!

— Jeśli tak, to żebym został papieżem!

— Wielki los! taki więzień w Watykanie!

— Jakto, jeszcze lepiej? Chyba nie może mi pan życzyć, żebym został Panem Bogiem! To niemożliwe!

— Czemu niemożliwe? Jednemu z naszych to się zdarzyło!

* * *

Do dziedzica przychodzi Moszek, jego pachciarz i, po raz nie wiem który, prosi go o pożyczkę stu złotych. Dziedzic znając obyczaje swego pachciarza, wyjmuje pieniądze i pyta:

— A cóż to, Moszku, znowu ci się dziecko urodziło?

— Tak, panie dziedzicu.

— Co rok prorok! Które to już z rzędu?

— Dziewiąte, panie dziedzicu.

— Powiedz mi, Moszku, po co ci to? Czy ty tak dzieci kochasz?

— Gdzie tam! Ktoby te bachory kochał?

— Więc co? Może ty tak żonę kochasz?

— Uj, panie dziedzicu! Ktoby takie, stare, grube żydówę kochał!

— No więc powiedz mi, skąd to wszystko?

— Ja te robote kocham!

Wydział Rejestru Handlowego

Sądu Okręgowego w Łodzi

Do Rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Łodzi, Działu A. i B. wniesiono następujące wpisy: za Nr. Nr.:

Nr. 823/B. **„Polsko - Amerykańska Fabryka Wyrobów Jedwabnych „Paw“, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością“** z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska Nr. 167. Kapitał zakładowy obecnie wynosi 150,000 złotych, jest podzielony na 100 udziałów po 1,500 zł. każdy. Zarządcami obecnie są: Maks Zelwer i Abram Liwszyc. Do podpisywania wszelkiego rodzaju zobowiązań w imieniu firmy jak to weksli, czeków, umów i temu podobnych dokumentów uprawnieni są obydwaj zarządcy łącznie pod stemplem firmy. Natomiast każdy z nich samodzielnie ma prawo podpisywać koresponedncję, podania i wszelkiego rodzaju pokwitowania z odbioru pieniędzy, przesyłek, towarów i innego majątku, do podpisywania pełnomocnictw sądowych i administracyjnych oraz do reprezentowania firmy w sądach i urzędach.

Nr. 4684/A. **„Leon Gerecht“** z siedzibą w Łodzi, 6-go Sierpnia 28. Firma została zlikwidowana.

Nr. 11867/A. **„Wyrób i sprzedaż czapek „Spółka“, wł. Pius Fuks, Przybucki i Bonk“** z siedzibą w Łodzi, Nowomiejska 19. Firma została zlikwidowana.

Nr. 3688/A. **Bracia Izrael i Abram Mienkiewicz** z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 64. Firma została zlikwidowana.

Nr. 7139/A. **„Braun i Święłowski“** z siedzibą w Łodzi, Gubernatowska 31. Firma została zlikwidowana z dniem 1 stycznia 1927 roku.

Nr. 4001/A. **„Klinge i Schulz“** z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 106. Wspólnikami są: Fryderyk Klinge, Monachjum, Robert Schulz, Łódź, Aleje Kościuszki 53 i Herman Schulte, Łódź, ul. Kątna 20/22.

Nr. 2063/A. **„Herc Grynberg“** z siedzibą w Łodzi, Zachodnia 70. Firma obecnie brzmi: „Fabryka pończoch, Herc Grünberg“.

Nr. 9864/A. **„Icek Majer Regenweter“** z siedzibą w Łodzi, Nowomiejska Nr. 9. Firma została zlikwidowana.

Nr. 10446/A. **„Kredytus, wł. Benjamin Wolf Frenkiel“** z siedzibą w Łodzi, Cegielniana 29. Firma została zlikwidowana.

Nr. 1447/A. **„F. J. Landau“** z siedzibą w Łodzi, Pańska 106 i Karola 17. Firma obecnie brzmi: „Fabryka Wyrobów Wełnianych F. J. Landau“. Prowadzenie przędzalni zarobkowej i wyrób przędzy wigoniowej. Siedziba firmy mieści się przy ulicy Piotrkowskiej 73, a fabryka przy ulicy Łąkowej 1.

Nr. 2283/A. **„Władysław Goszczyński“** z siedzibą w Łodzi, Benedykta Nr. 7. Firma znajduje się w likwidacji.

Nr. 3519/A. **„Emil Wicke“. Firma została zlikwidowana** wobec przejścia na spółkę akcyjną.

Nr. 9553/A. **„Daiwd Rotkel“** z siedzibą w Łodzi, ul. Konstantynowska 7. Firma obecnie mieści się przy ulicy Piotrkowskiej 56.

Nr. 53/B. **„Spółka Akcyjna Wyrobów Bawełnianych I. K. Poznańskiego w Łodzi“** z siedzibą w Łodzi, ul. Ogrodowa 17. Emil Landsberg z komitetu wykonawczego i rady nadzorczej wystąpił, a na jego miejsce powołano do rady nadzorczej w charakterze członka i do komitetu wykonawczego w charakterze zastępcy Ottona Banlewitza, Łódź, Aleje 1-go Maja 6, który jest zarazem naczelnym dyrektorem z prawem samodzielnego podpisywania całej korespondencji. Wszelkiego rodzaju zobowiązania, weksle, umowy, czeki, akty urzędowe nie wyłączając hipotecznych, pisma z żądaniem sum z instucyj kredytowych i różne dyspozycje dla tychże instytucyj oraz pełnomocnictwa i wnioski sądowe winny być podpisywane wyłącznie przez dwuch członków komitetu wykonawczego lub ich zastępców, a mianowicie: przez Adama Ossera lub Kazimierza Poznańskiego wspólnie z dr. Gaaltiero de Fischel lub Arturem Hellerem lub Ottonem Banlewitzem.

Nr. 351/B. **„Włókiennicza Spółka Akcyjna „N. Eitingon i S-ka“** z siedzibą w Łodzi, ul. Sienkiewicza 84. Maks Ejtingon i Samuel Midlin z zarządu ustąpili, a na ich miejsce powołano Jakóba Spektora i Lazara Rusinowa, dotychczasowych prokurentów.

Nr. 71/B. **„Towarzystwo Akcyjne Przemysłowe Markus Kohn w Łodzi“** z siedzibą w Łodzi, ul. Piotrkowska 61. Zarząd stanowią: Samuel Kohn, Maurycy Przeworski, Colonel Vernon, F. Wilkcy, Henryk Barciński, Hubard, Józef Danzuger i Kazimierz Kon oraz kandydaci: W. P. Warsnop i Roman Przeworski.

Nr. 15/B. Witold Rządkowski przestał być dyrektorem oddziału w Warszawie, a na jego miejsce powołano inż. Wacława Rozwadowskiego. Kierownik oddziału w Kielacach Mikołaj Przesmycki mianowany został dyrektorem. Oskar Strauch przestał być prokurentem, a prokurent Zygmunt Jedański przeszedł z Radomia do oddziału w Łodzi.

Nr. 453/B. **„Fabryka Maszyn i Odlewnia Żelaza Müller i Seidel, Spółka Akcyjna“** z siedzibą w Łodzi, ul. Pańska 96. Dyrektor zarządzający Herman Müller zmarł.

Nr. 129/824/B. **„Przemysł Chemiczny w Polsce, Spółka Akcyjna“** z siedzibą w Zgierzu. Członek zarządu i komitetu wykonawczego Władysław Bizański ustąpił, a na jego miejsce został wybrany Dr. Wojciech Rogalski z Warszawy, Zoliborz oficerski, ulica Śmiała 49. Dyrektorem jest Andrzej Brzóstowski, Warszawa, ul. Elsterska 9, który jest uprawniony do łącznego podpisywania z jednym z członków zarządu, dyrekcji lub też z jednym z prokurentów wszelkich dokumentów, papierów wartościowych, czeków, weksli, kantraktów, zobowiązań i listów. Leopold Górka, Zgierz, ul. Berka Joselowicza 33 i Ignacy Nowakowski, Zgierz, ul. Leśna 9, mianowani zostali prokurentami z prawem łącznego podpisywania z jednym z członków zarządu, dyrekcji, lub też z jednym z prokurentów.

OGŁOSZENIE Nr. 23.

Do Rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Łodzi, dział A i B wniesiono następujące wpisy:

Nr. 868/B. **„Fel-Fryd — Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością“.** Wyrób i sprzedaż obuwia. Siedziba firmy mieści się przy ul. Kilińskiego 174, a fabryka na Chojnach przy ulicy Piaskowej Nr. 36 w Łodzi. Kapitał zakładowy spółki całkowicie wpłacony wynosi 4,000 złotych, podzielonych na 40 udziałów po 100 złotych każdy. Zarządcami są: Bolesław Uznański, Łódź, Kilińskiego 174 i Sura-Mima Frydman, Łódź, ul. Zamenhofa Nr. 6. Wszelkiego rodzaju zobowiązania pieniężne podpisują obydwaj zarządcy łącznie pod stemplem firmy. Natomiast każdy z nich samodzielnie uprawniony jest do wydawania pełnomocnictw i odbierania korespondencji zwykłej, poleconej, pieniężnej, przekazów pocztowych, przesyłek, towarów i bagaży. Prokurentem firmy jest Fajwel Frydman, zamieszkały przy ul. Zamenhofa 6 w Łodzi. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki został sporządzony przez notarjusza Smolińskiego w Łodzi 20 czerwca 1928 roku za Nr. 992.

Nr. 867/B. **„Odlewnia i Warsztaty Mechaniczne "Żeliwo" — inż. Wł. Pulikowski i L. Twardowski, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością“.** Siedziba firmy mieści się przy ulicy Wysokiej 38 w Łodzi. Celem spółki jest produkowanie i sprzedaż wszelkiego rodzaju odlewów żeliwnych i innych metali, oraz wykonywanie wszelkich robót, w zakres warsztatów mechanicznych wchodzących. Kapitał zakładowy, całkowiie wpłacony, wynosi 32,000 złotych, podzielonych na 100 udziałów po 320 złotych każdy. Zarządcami są: Władysław Pulikowski, Łódź, Słowiańska 11 i Litman Twardowicz, Łódź, Konstantynowska 42. Każdy z nich ma prawo w imieniu spółki podpisywać wszelką korespondencję, rachunki, pokwitowania i wszelkie dokumenty, nie mające charakteru zobowiązań pieniężnych, otrzymywać należne spółce sumy i inny majątek, reprezentować spółkę u wszelkich władz i prowadzić wszystkie sprawy sądowe spółki. Weksle zaś, akcepty, indosy, czeki, kontrakty, umowy, pełnomocnictwa i wszelkie wogóle zobowiązania pieniężne podpisują zarządcy łącznie pod stemplem firmy. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki został zeznany w kancelarji notarjusza Jarzębskiego w Łodzi 3 lipca 1928 roku za Nr. 2682.

Nr. 866/B. **„Tkacko-Gumowa Manufaktura „Emil Wicke“, Spółka Akcyjna, Łódź ul. Kopernika 36“.** Prowadzenie fabryki tasiem gumowych. Kapitał zakładowy całkowicie pokryty wynosi 500,000 złotych i jest podzielony na 1000 akcyj po 500 złotych każda. Zarząd stanowią: Emil Wicke, Łódź, ul. Kopernika Nr. 36, Aleksander Radziszewski, Łódź, ul. Kopernika Nr. 35 i Otton Graeser, Łódź, ul. Kopernika Nr. 36. Wszelką korespondencję, jak również pokwitowania z odbioru z poczty i kolei, korespondencji zwyczajnej i pieniężnej, podpisuje w imieniu spółki jeden z członków zarządu. Weksle, pełnomocnictwa, czeki, akty hipoteczne, notarjalne i wogóle wszelkie akty prawne i zobowiązania podpisują dwaj członkowie zarządu. Spółka akcyjna. Statut spółki zatwierdzony został przez Ministrów Przemysłu i Handlu oraz Skarbu 21-go maja 1928 roku i ogłoszony w „Monitorze Polskim“ 29 maja 1928 roku za Nr. 122. Akt organizacyjny sporządzony został w kancelarji notarjusza Jarzębskiego w Łodzi, 23 lipca 1928 roku za Nr. 2960. Czas trwania spółki nieograniczony.

Nr. 864/B. **„Wacław Krawczyński i S-ka, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością“.** Przedmiotem przedsiębiorstwa jest budowanie karoseryj, warsztaty reparacyjne samochodowe i wynajem garaży. Siedziba mieści się przy ulicy Piotrkowskiej 287 róg Czerwonej w Łodzi. Firma rozpoczęła czynności 2 lipca 1928 roku. Kapitał zakładowy spółki wynosi 16,000 złotych i jest podzielony na 160 udziałów po 100 złotych każdy. Zarządcami są: Wacław Krawczyński, ul. Kątna 56, Jan Weisig, Pabjanice, ul. Moniuszki 62, Oskar Weisig, Ruda-Pabjanicka, ul. 3-go Maja Nr. 9 i Aleksander Pitz, Łódź, ul. Juljusza Nr. 15. Weksle, żyra, czeki, wszelkiego rodzaju zobowiązania, umowy i akty, podpisują dwaj zarządcy łącznie pod stemplem firmy. Natomiast każdy z zarządców uprawniony jest do samodzielnego podpisywania korespondencji, otrzymywania wszelkiego rodzaju towarów i przesyłek, korespondencji pieniężnej i wartościowej, oraz prowadzić wszelkie sprawy firmy we wszystkich instytucjach sądowych i zastępować firmę we wszystkich urzędach państwowych. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki zeznany został 26-go maja 1928 roku za Nr. 10767 przed notarjuszem Kahlem w Łodzi. Czas trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużaniem.

Nr. 863/B. **„Bracia Poznańscy — inżynierowie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością“.** Celem spółki jest prowadzenie przedsiębiorstwa sprzedaży samochodów i ich części i akcesorjów, oraz innych artykułów technicznych, tudzież prowadzenie warsztatów mechanicznych. Siedzibą firmy jest Łódź, ul. Piotrkowska 144. Spółka rozpoczęła czynności 1-go lipca 1928 roku. Kapitał zakładowy spółki całkowicie wpłacony wynosi po 500 złotych każdy. Zarząd-100 równych udziałów po 50 złotych każdy. Zarządcami są: Józef Poznański, Mojżesz Poznański, obaj w Łodzi, ul. Piotrkowska 90 i Michał Poznański, zamieszkały w Londynie, ul. Farm-Avenue Nr. 21. Akcepty i weksle proste, tudzież akty notarjalne w przedmiocie nabycia, zbycia i obciążenia nieruchomo-

ści, oraz praw, hipotecznych i prokury, podpisują dwaj którzykolwiek zarządcy łącznie. Wszelkie zaś inne czynności, jak to: podpisywać czeki, indosy, (żyra) na wekslach, umowy w przedmiocie sprzedaży samochodów i innych artykułów, pełnomocnictwa, korespondencję, rachunki, pokwitowania i inne pisma, uprawniony jest każdy z zarządców samodzielnie i każdy z nich ma prawo otrzymywania wszelkich należności, korespondencji zwyczajnej i poleconej, paczek, przesyłek, bagaży i pieniędzy, oraz reprezentowania spółki przed władzami. Wszelkie dokumenty i pisma podpisują zarządcy pod stemplem firmy. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki został zeznany 23 marca 1928 roku za Nr. 1715 przed notrjuszem Rossamnem w Łodzi. Czas trwania spółki trzyletni z automatycznem trzyletniem przedłużaniem.

Nr. 862/B. **„Nowoczesna Piekarnia Mechaniczna — Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością".** Wyrób i sprzedaż wszelkiego rodzaju pieczywa. Siedzibą firmy jest ul. Narutowicza 24 w Łodzi. Firma rozpoczęła swoje czynności 21 czerwca 1928 r. Kapitał zakładowy spółki całkowicie wpłacony wynosi 3000 złotych, podzielonych na 100 udziałów po 30 złotych każdy. Zarządcami są: Pinkus Ziembiński, Łódź, ul. Narutowicza 24 i Wolf Ziembiński, Łódź, ul. Szkolna Nr. 7. Do podpisywania wszelkiego rodzaju zobowiązań, weksli, indosów, czeków, przekazów, pokwitowań i odbioru sum pieniężnych, dokumentów wszelkiego rodzaju korespondencji, prowadzenia spraw sądowych i administracyjnych upoważniony jest każdy z zarądców samodzielnie. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki został sporządzony w kancelarji notarjusza Krzemieniewskiego w Łodzi dnia 21 czerwca 1928 roku za Nr. R. 2746. Czas trwania spółki nieograniczony.

Nr. 861/B. **„Polskie Towarzystwo Zakładów Skody, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością".** Po czesku „Polska Spolecnost Skodovych Zavodu, spolecnost s. v. o.". Po francusku „Societe Polonaise de Etablissements Skoda, S. a. r. l.". Siedziba spółki w Warszawie, Zgoda 1, Oddział w Łodzi. Celem spółki jest: a) pośrednictwo w sprzedaży, nabywaniu i dalszej sprzedaży metalurgicznych i hutniczych wyrobów „Akcyjnego Towarzystwa przedtem Zakłady Skody" w Pilźnie, stosownie do umów zawartych z wymienionem Towarzystwem, odnośnie tej sprzedaży; b) przewóz do Polski wszelkiego gatunku czechosłowackich metalurgicznych i hutniczych wyrobów; c) wywóz do Czechosłowacji wszelkiego gatunku polskih wyrobów półfabrykatów i surowca; d) zakup i pośrednictwo w okazyjnej sprzedaży wyrobów i surowców nie należących do zakresu fabrykacji „Akcyjnego Towarzystwa Skody" w Pilźnie: e) wyrób wszelkich maszyn i składowych części, a także uczestniczenie, zakładanie i przyjmowanie w tym celu przedsiębiorstw, zajmujących się tym wyrobem. Kapitał zakładowy 10,000 złotych, podzielonych na 100 udziałów, całkowicie w gotowiźnie wpłacony. Zarządcami są: Włodziemierz Fiala, Ludwik Tucek, obaj z Pilzna, Bolesław Avenarjus z Warszawy, Natolińska 6. Zarządcy zastępują spółkę wobec władz i osób i prowadzą jej interesy. Wszelkie zobowiązania, umowy prywatne, notarjalne i hipoteczne, plenipotencje, czeki, umowy i kontrakty podpisują dwaj zarządcy łądcznie z prokurentem. Korespondencję zwykłą, pokwitowania z odbioru listów, pieniędzy i przesyłek podpisuje jeden z zarządców, lub prokurent. Karolowi Baxantowi z Warszawy, Bodeuna 4, udzielono łącznej prokury. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, zawarta na mocy aktu, zeznanego przed notarjuszem Wyganowskim w Warszawie, dnia 21-go stycznia 1925 roku za Nr. 256 na czas nieograniczony.

Nr. 860/B. **„Przemysł Radjotechniczny „Orso" — Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością".** Celem spółki jest prowadzenie wytwórni części radjotechnicznych, aparatów radjowych, akcesoryj do tychże i przyrządów pomocniczych, oraz artykułów mechaniki preyzyjnej i sprzedaży takowych. Siedziba firmy mieści się w Łodzi przy ulicy Nawrot Nr. 92. Kapitał zakładowy spółki całkowicie wpłacony wynosi 5000 złotych i jest podzielony na 100 udziałów po 50 złotych każdy. Zarządcami spółki są: Oskar Szefer z Łodzi, ul. Juljusza 20 i Cecylja Kalinowska z Łozi, ul. Konstantynowska 99. Zarząd reprezentuje spółkę wobec wszystkich władz i instytucyj. Weksle, żyra na wekslach, czeki i wogóle wszelkie zobowiązania spółki, akty notarjalne, prokury podpisują dwaj członkowie zarządu pod stemplem firmy. Natomiast każdy z zarządców uprawniony jest do samodzielnego podpisywania korespondencji, pełnomocnictw sądowych, odbierania korespondencji poleconej i wartościowej, przekazów pieniężnych, posyłek, towarów, wszelkiego rodzaju sum z banków, instytucyj kredytowych, państwowych, społecznych i od osób prywatnych. — Lucjan Ormontowicz z Łodzi, ul. Nawrot Nr. 38-b, mianowany jest prokurentem z prawem łącznego podpisywania z jednym z członków zarządu, za wyjątkiem odbierania sum z banków i instytucyj kredytowych, państwowych, społecznych, komunalnych i od osób, korespondencji zwyczajnej i poleconej, listów wartościowych, przekazów pieniężnych, posyłek i towarów, do czego uprawniony jest samodzielnie. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Akt spółki został zeznany w kancelarji notarjusza Trojanowskiego w Łodzi, dnia 25 czerwca 1928 roku za Nr. R. 1328. Czas trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużaniem.

Redakcja i Administracja w Łodzi
ul. Piotrkowska Nr. 85. Telefon Nr. 45-50

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Ogłoszenia w tekście 40 groszy za milimetr wysokości w jednej szpalcie. Drobne 10 groszy za wyraz.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.*

Odbito w Drukarni Państwowej w Łodzi, Piotrkowska 85. 51928